

Aleksander Piwowarek-- wspomnienia

Autor wspomnień Aleksander Piwowarek, mój przyjaciel, kolega szkolny i równolatek, był synem Felicji ze Szczepańskich i Jana Piwowarka. Jego matka, absolwentka polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego z doktoratem, pochodziła z Sambora--jej ojciec był tam dyrektorem gimnazjum. Ojciec Aleksandra był synem rolnika ze wsi Podborcze, położonej kilka kilometrów na zachód od Szczepieszyna, na skraju wzniesień i jarów Roztocza. Państwo Piwowarkowie mieli dwoje dzieci, syna Aleksandra, i córkę Magdalenę z Piwowarków Kozakową.

Pani Felicja Piwowarkowa uczyła w gimnazjach i liceach w Zamościu, Hrubieszowie, Samborze a w ostatnich latach przed wojną w Nisku, skąd we wrześniu 1939 r. uciekli całą rodziną, i zamieszkali w Podborczu u rodziców męża. Po okupacji pracowała ponad 30 lat w Gimnazjum i Liceum w Szczepieszynie najpierw jako nauczycielka, a po przejściu na emeryturę jako bibliotekarka tej szkoły.

Pan Jan Piwowarem był pracownikiem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Szczepieszynie.

Także Aleksander Piwowarek był absolwentem polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Uczył kilka lat w Szczepieszynie, a później osiadł w miejscowości Czarnogłowy niedaleko trasy Świnoujście—Szczecin.

Zamieszczone poniżej jego wspomnienia, zostały nieznacznie poprawione w kilku miejscach, gdyż niektóre z opisanych czynności i pracy rolnika były dla nas oczywiste, dla młodego czytelnika są już niezrozumiałe.

Największym walorem tych wspomnień jest obraz życia i pracy wsi roztoczańskich, często jeszcze sięgających swymi korzeniami przełomu XIX i XX wieku.

Wspomnienia przekazane mi przez Aleksandra Piwowarka miały w naszych planach wejść do większego zbioru wspomnień absolwentów szkół szczepieszkich. Niestety nic z tego nie wyszło.

Wspomnienia te, w trochę rozszerzonej formie, można także znaleźć na stronie Pani Reginy Smoter Grzeszkiewiczowej www.horajec.republica.pl.

Zdjęcia, z wyjątkiem mapy, wg informacji Olka pochodzą, za zgodą właściciela, ze zbiorów pana Grzegorza Krukowskiego.

Romuald Kołodziejczyk



Do Podborcza przyjechaliśmy 9 września 1939 r. Wioska nie miała charakteru typowej ulicówki. W skład tradycyjnej chłopskiej zagrody, obok chaty mieszkalnej, wchodziły obora i stodoła, niekiedy autonomicznie stojący chlew, bróg itp. Podstawowym budulcem było drewno, a metodą jego łączenia węgiel. Do pokrywania dachu służyła słoma (w całej wiosce był jeden dom, do którego budowy użyto cegły i dwa pokryte blachą). Chaty starsze pochodzące z dziewiętnastego wieku miały jedną izbę, przelotową sień i komorę. W powstałych później pomieszczeniach bywało od dwóch do trzech. O budowie nieco wygodniejszych domów zdecydował postęp w technologii obróbki drewna (w okolicy pojawiły się małe parowe tartaki, nauczono się również ręcznej, wzdłużnej przecierki drewna). Rozwijający się przemysł pozwalał na stopniowe wprowadzanie i urozmaicanie asortymentu artykułów dla budownictwa.

Podborcze, którego nazwa oznacza miejsce pod borem było niewielką liczącą dwanaście "numerów" wioską. "Numer" był zakodowanym w ludzkiej pamięci z czasów uwłaszczenia stwierdzający ilość uwłaszczonych gospodarstw chłopskich. Gospodarstwa te usytuowano wzdłuż wąskiej wiejskiej drogi przebiegającej równolegle do odległego około pięćdziesięciu metrów gościńca. Przy południowym krańcu wioski droga skręcała i przez "nawsie" następnie mostek na Rzece, wiodła ku Szczepieszynie i dalej wznosząc się do góry ku Szczepieszynowi.

Aktualnie zagród było przeszło dwukrotnie więcej niż w okresie uwłaszczenia. Zmieniła się również na skutek podziałów powierzchnia poszczególnych gospodarstw, a także lokalizacja i kategorie użytkowanego arealu. Nadanie z 1864r. zakładało identyczność powierzchni każdego "numeru", w skład, której wchodziły następujące użytki: ziemia orna, łąka, oraz las. Nadanie uzupełniała gromadzka wspólnota na korzystania z wypasu na wygonie i pastwiska na Szczepieszynie.

W najbliższych dniach obserwowałem krajobraz zupełnie nieadekwatny do znanych widoków na Nizinie Sandomierskiej.



"Szczepreska" widok od północnego zachodu--od strony wsi Zaburze. Podborcze niewidoczne, po prawej stronie fotografii.

Na przełomie czternastego i piętnastego wieku, kiedy gorajecka enklawa wchodziła w skład szczepreskiego powiatu nadanego Dymitrowi z Klecza, tędy zapewne wiódł szlak łączący Szczepreszyn z zachodnimi częściami włości Dymitra--od Szczepreskiej do Gorajca i dalej do Frampola.

Użytkowanie zboczy Szczepreskiej było zróżnicowane: część pokrywały poletka uprawne tzw. "nowiny" resztę stanowiły las i nieużytki pełniące funkcję pastwiska. Południową część owej moreny obejmował duży kompleks leśny zwany "Cetnarem". Cały obszar pokrywały liczne lessowe jary nierzadko głębokie na kilkanaście i więcej metrów. Przeciwległe (zachodnie) wzniesienia były łagodniejsze i silniej rozczłonkowane, w olbrzymiej większości objęte polami uprawnymi. Od południa i od północy ograniczały enklawę odpowiednio: od południa fragmenty Puszczy Solskiej, oraz od północy tereny nad Porem.

17 września spłonęła podpalona ręką polskiego marudera część wioski, w tym dziadkowa zagroda wraz z domem. Całą wojnę mieszkaliśmy w wynajmowanej izdebce.

O przetrwaniu decydowała codzienna praca w niezmiernie prymitywnych warunkach, oraz sytuacje ekstremalne spowodowane okupacją. Szybko zrozumiałem, iż niemal wszystko, co potrzebne jest do życia wytwarzane jest na polu i w zabudowaniach gospodarczych. Pole dostarczało zboża, paszy dla zwierząt, warzyw, Inu oraz konopi na odzież i pościel. Zwierzęta inwentarskie

służyły jako siła robocza, były źródłem nabiału i niewielkiej ilości mięsa. System upraw nie różnił się specjalnie od ubiegłowiecznego.



Siew

Jesienią przygotowywano role pod zasiew oziminy dokonując konno orki i bronowania. Następnie siano „z płachty” żyto oraz pszenicę, po czym zasiew ponownie bronowano, aby ziarno przykryć ziemią. Ponieważ jesień była najbardziej pracowitym okresem nie zawsze starczało czasu na podorywki.

Czasem siewu owsa i jęczmienia, również gryki, prosa oraz roślin włóknistych, niektórych okopowych i warzyw była wiosna. Len siano w maju (wcześniejszy termin siewu mógł powodować wymarznienia, późniejszy słabe wschody). Ze względu na dużą pracowitość, tak przy pielęgnacji jak i w toku dalszej obróbki poletka były niewielkie, najwyżej kilkuarowe. Kilkakrotnie ręczne pielenie uprawy to dopiero początek Inianej epopei. Po wyrwaniu roślin przez kilkanaście dni schły one ustawione w małych snopkach na polu. Następnie należało je „oczemchać” (oberwać torebki nasienne za pomocą specjalni do tego celu służących drewnianych „grzebieni”). Kolejnym zabiegiem był „roszenie” W tym celu odziarnioną słomę rozłożyć należało cienką warstwą na łące po drugich sianokosach, lub na ściernisku, celem doprowadzenia jej rdzeni do zbutwienia. Dopiero tak przygotowany materiał nadawał się do międlenia. Do wykonywania owej czynności służyły międlice i cierlice. Były to dosyć grube kilku centymetrowej szerokości deski z wyciętą w grubości szczeliną, w którą wchodziła cieńsza deska połączona bolcem z jednej strony, a zaopatrzona w rączkę z drugiej. Działy na zasadzie dźwigni jednoramiennej.



Międlenie. Razem pracowało się weselej.

Prymitywne urządzenie gniotło zbutwiałe łądyżki łamiąc je wielokrotnie i wytrząsając paździerze. Cierlica różniła się jedynie podwójnym wycięciem. Jej zadaniem było dokładniejsze oczyszczenie włókna. Snujące się wzdłuż gościńca dymy z ognisk, nad którymi suszono wilgotne len i konopie oraz towarzyszący im klekot międlic stanowiły wyrazisty symbol nazwy miesiąca. Jesienny nastrój pogłębiały wlokące się przez większość dnia mgły. Niekiedy jedynie odgłosy międlenia sygnalizowały pracę kobiet.

Pod koniec października lub w listopadzie (po zakończeniu ostatnich prac polowych) dokonywano ostatecznego podziału włókna na pakuły i „garście” Służyła do tego „szczotka”. Był to drewniany krążek z koncentrycznie ponabijanymi zaostrozonymi gwoździami. Ów krążek bywał przymocowany na stałe do dłuższej deski pozwalającej oprzeć ją jednym końcem o podłogę, jednocześnie drugi przytrzymując górną partią ciała. Wolną ręką „czesano się” garść lnu, podczas którego odpadała część nienadająca się do przędzenia tzw. pakuły, a w rękę pozostawało dobre przędziwo.

Przędzenie odbywało się zimą. Włókno przywiązywano do „krążela”— stojącego kija umieszczanego na statywie. Wysnuwane z „krążela” przez kobiety przędziwo skręcało wirujące wrzeciono. Po jego wypełnieniu należało gotową przędzę nałożyć na motowidło, na którym powstawały motki o jednakowej długości, z jednakową liczbą sześćdziesięciu nitkowych pasem.

Na przełomie zimy i wiosny w niektórych chatach pojawiały się (zajmujące niemal połowę izby) warsztaty tkackie. Nici z motków były przewijane na duże szpule a następnie w postaci osnowy nakładane na wał. Po przeprowadzeniu przez „naczynia (rodzaj pedałów) i ubijak” mocowano je na wale odbierającym. Tkacz mógł rozpocząć pracę. Przepychał czólenko z nawiniętym na cewce wątkiem każdorazowo zmieniając za pomocą „naczyn” pozycję części nitki osnowy, a następnie uderzał „ubijakiem”. Mógł on tym sposobem dziennie wykonać kilka łokci płótna.

Zdjęcie produktu z warsztatu nie oznaczało jeszcze końca lnianych dziejów. Ostatnim aktem było bielenie polegające na rozłożeniu płótna w słońcu i wielokrotnym polewaniu wodą, celem pozbycia się szarego odcienia i nadmiernej sztywności materiału. Teraz dopiero lniana epopeja, po przeszło rocznej akcji dobiegała końca. Siemię lniane jak i konopne były surowcem do produkcji oleju, będącego istotnym składnikiem diety miejscowej ludności.

Stosunkowo krótszy i mniej pracochłonny był cykl pozyskiwania kasz. Po omlotach cepem lub w młocarni kieratowej nasiona gryki trafiały do wiejskich kaszarni, gdzie po rozkruszeniu łuski w specjalnie skonstruowanych żarnach, kaszę czyszczono na wialni poprawiając sitem. Obróbka jagieł była prostsza. Za pomocą uderzeń obrabiano je w stępie (stępa przypominała duży drewniany moździerz) po odsianiu na sicie kasza była gotowa.



Od lewej żarna, stępa, zolnik

Wiosną sadzono na polu stosunkowo duża ilość kapusty, którą w jesieni kiszono w wielkich beczkach. Obok kiszonej kapusty drugim podstawowym produktem stanowiącym codzienne menu były ziemniaki. Sadzono je „pod skibę”, a jesienią wykopywano zbiorowo motykami, codziennie u innego gospodarza. Wieczorem gospodarz zapraszał „kopaczy” na wieczerzę, której podstawą tradycyjnie były rozdrobnione podpłomyki (placki) obficie posypane twarogiem i oblane roztopionym masłem.

Natomiast do sprawnego sprzętu zboża potrzebne były trzy osoby: kosiarz, odbieracz i wiązacz.



Żniwa. Koszący, dwie panie odbierające skoszone zboże i układające je w snopki, za nimi wiążący snopki powrósłem. Jedne z najcięższych prac polowych w skwarze i kurzu od świtu do nocy. Z tych czworga pracujących przy żniwach, najgorzej miały te dwie kobiety—bezustanne „ćwiczenie” kręgosłupa. W oddali, po środku pomiędzy wiążącym a bokiem zdjęcia, źle widoczny dziesiątek, przykryty czapą ze snopka.

Wykoszone i powiązane w snopki zboże ustawiano w dziesiątki (dziewięć snopków—dziesiąty rozczapierzony je przekrywał), by przeschło na polu. Następnie zwożono je do stodoły magazynując w zapolach, których zgodnie z typową budową tego budynku było dwa—jedno po lewej, drugie po prawej stronie wjeżdżającej ze zbożem furmanki. Omłotów dokonywano po ukończeniu prac polowych cepami, a nieliczni posiadacze kieratów przy pomocy młocarni. Omłócone ziarno należało jeszcze odwiać. Kiedyś robiono to w ten sposób, że w wietrzny dzień rozścielano na podwórzu płachtę, i wysypywano powoli z przetaka trzymanego nad głową zboże, które jako cięższe spadało na płachtę, a lekkie plewy wiatr unosił poza nią. Teraz służyły już do tego wialnie zwane pospolicie młynkami. Kręcenie korbą wywoływało poprzez pewne urządzenia odpowiedni wiatr.

Słomę żytnią i większość pszennej zużywano na podściółkę dla zwierząt, pozostałą na paszę. W razie zapotrzebowania na długą i równą słomę potrzebną na strzechy, używano tylko cepów. W ten sposób pokryto nowo budowaną, po spaleniu się w 39 r., stodołę dziadka. Z żytniej, cepem młóconej słomy robiono „kiczki”, które potem układano tak, jak dachówkę.

Nie sposób wyobrazić sobie zagrody chłopskiej bez inwentarza żywego. Były, więc konie najczęściej dwa, choćby, dlatego, iż do kościoła w pojedynką jechać to wstyd. Naprawdę to koń i bez tej świątecznej eskapady miał, co robić: na polu oranie, bronowanie, kultywator. Dodatkowo zwózka plonów, praca w kieracie, przywóz opału na zimę. Krowy z zasady dzieliły pomieszczenie z końmi, czasem przez ścianę, częściej jednie odgradzone drewnianą barierką. Miały dawać mleko i produkować obornik.

Najczęściej w oborze; niekiedy w osobnym pomieszczeniu znajdowała się grzęda dla kur. Kury widziało się w każdej zagrodzie. Miały produkować jaja dla własnego użytku i część na sprzedaż, a po wyeksploatowaniu trafiały do garnka. Kaczki i gęsi występowały sporadycznie. Pożądanym od nich produktem były przeznaczone na poduszki i pierzyny pióra. Tam gdzie widać było owe ptaki istniało znaczne prawdopodobieństwo, iż mieszka panna na wydaniu; bowiem poduszki i pierzyna to podstawowy element posagu.

Jako paszę dla inwentarza uprawiano buraki pastewne i wsiewano wiosną w żyto koniczynę, która rosła autonomicznie w latach następnych. Mięso, nabiał, pióra to tylko część korzyści wynikających z hodowli. Nieocenioną wartość przedstawiał obornik będący najistotniejszym czynnikiem, determinującym system upraw i wysokość plonu. Spotykałem się też z twierdzeniem gospodarzy, że nawet mało wydajne krowy trzymane są: "na gnój". Jesienią decydowano się często na przywóz z lasu liści by powiększyć ilość ściółki a tym samym masę obornika. Właśnie obornik decydował o trójpolowej uprawie. W pierwszy roku po nawożeniu sadzono ziemniaki lub siano buraki, w drugim siano pszenicę i jęczmień, w trzecim żyto lub owies. Stanowiska po koniczynie traktowano jak pierwszy ewentualnie drugi rok po oborniku. Plony jednak były mizerne: wydajność zbóż grawitowała w granicach 10q z hektara, okopowych 60 – 80q.

W zimie siadywałem przy piecu w naszej „chałupce” usiłując czytać, co ze względu na ograniczone możliwości pozyskania lektury, oraz kompletny brak nafty nie było łatwe w realizacji. Jakies pochodzące z przedwojennej prenumeraty książki posiadał po sąsiedzku mieszkający Stach Ferenc. Nieco później odkryłem fragmenty biblioteki kolegium serafickiego o.o. Bernardynów z Radczyca u jednego z jego wychowanków: Staszka Bartnika. Posiadanie tych książek nie było oczywiście efektem kradzieży, lecz depozytem przekazanym w celu ich uchronienia przed zniszczeniem po zlikwidowaniu przez Niemców szkoły. Nafta jednak była nieosiągalna. Zastępowała ją produkowana w Brodach Małych k. Szczepieszyna terpentyna, a później karbid.

Wyjątkowa sroga zima 1941 na 42 r. przyniosła zagładę kuropatwom, których duże stada, na skutek zimna i śniegu, w poszukiwaniu pożywienia zbliżały się ku zagrodom. Lekka odwilż i wilgotny śnieg zasypał ptaki w wygrzebanych przez nie dołkach, a następnie gwałtowne ochłodzenie spowodowały unieruchomienie ich i śmierć. Nie wspominałbym o owym fakcie, gdyby niezastyszana przeze mnie wróżba i to wypowiedziana ustami zaprzyjaźnionego Żyda, wiążąca ptasią zagładę z zapowiedzią holokaustu: "po kuropatwach my...".

Na kilka dni przed „Godami” (Bożym Narodzeniem) rozpoczynaliśmy próby do kolędniczego występu. Polegały one na wyszukiwaniu w „kantyczkach” tekstu kilku kolęd, które następnie przekrzykując się „śpiewaliśmy” kilkakrotnie. Sam występ odbywał się teoretycznie wieczorami

w okresie od św. Szczepana do św. Trzech Króli. Ponieważ wioska była niewielka nasze popisy zakończyliśmy na trzeci dzień. Polegały one na ustawieniu się za okienkiem danej chaty i gromkim oświadczeniu "Panie gospodarzu, pani gospodyni czy każecie, czy każecie domek rozweselić...?" O ile nie było wyraźnego protestu rozpoczynaliśmy wyuczony "popisy". W dzień św. Szczepana kolędę rozpoczynali „kawaliry”. Kryteria zaliczenia do tej grupy kolędujących nie były rygorystyczne, należało wcześniej przejść mutacje i nie wejść jeszcze w związki małżeńskie. Osób, które owym kryterium odpowiadały w Podborczu było kilkanaście i prawie wszyscy w imprezie brali udział.

Najpierw śpiewano kolędę, potem w domach, w których znajdowały się panny rozpoczynano żartobliwe swatanie najczęściej desygnując jednego z chłopców do roli starającego się przyśpiewując żartobliwie np. „...wiemy bo my wiemy co ci darujemy Stasia nadobnego do cię podobnego...”. Przyśpiewki bywały różne, przytoczyłem zapamiętaną i najbardziej charakterystyczną. Panny identyczną imprezę rozpoczynały w sylwestrowy wieczór.

Rytualem, z którym zetknąłem się jedynie na Roztoczu było zbieranie „szczodraków”. Szczodrakiem nazywano mały chlebek uformowany w kształcie grubego rogała, którym obdarowywano starsze dzieci podczas obchodu w noworoczny poranek. Śpiewano wtedy następującą przyśpiewkę "Zawitał Bóg w tym domku, a w tym domku kościółek, w tym kościółku Maryja syna swego powiła, szczodre lato, dobre lato, dajcież, że nam szczodrak za to...!"

Kolędę przeprowadzaną przez proboszcza z Mokregolipia kojarzyłem, podobne zresztą jak inne dzieci, z rozdawanymi przez niego obrazkami. Proboszcz, był nim wówczas wyróżniający się potężną posturą ks. Masztalerz, przyjeżdżał wozem wraz z woźnicą, którym był organista i obchodził chaty. W tym czasie na wóz trafiał drób, nabiał, zboże, zdarzało się i wałek płótna, snopki pszenicy etc.

Kilka słów o dniu najistotniejszym tj. Wigilii. Post obowiązywał przez cały dzień. Wieczorem pojawiała się na podłodze słoma. a w kącie izby snopek żyta zwany „królem”. Sygnał pierwszej gwiazdy, co prawda obowiązywał, jednak nie był rygorystycznie przestrzegany. "Pośnik" (kolacja wigilijna) był posiłkiem obfitym, lecz kraszonym jedynie tłuszczem roślinnym. Obowiązkowymi daniami były: zupa z suszonych owoców tzw. „parka”, „łupcie” (gołąbki) z kaszą gryczaną i grzybami, gotowana kiszona kapusta, „piróg” gryczany (coś w rodzaju kulebiaka, faszerowany kaszą gryczaną z dodatkiem niewielkiej ilości kartofli, sera i skwarek, przepyszny- przypis RK.) i drugi pszenny obydwie pieczone w piecu chlebowym. Były i kluski z makiem. Po wigilijnej kolacji śpiewając nieco kolęd czekano na późniejszą godzinę, by wyruszyć do kościoła w Mokrym Lipiu na pasterkę.

Wówczas na gościńcu zaczynał się ruch. Najpierw grupkami szli piesi, niektórzy oświetlali sobie chwilowo drogę podpalanymi wiązkami słomy, potem ponownie zapadała ciemność. Liczne sanki wyprzedzały piechurów. Gościniec toczył potok z Gorajca, Zaborza, Dzielec, Podborcza. Strumyki z Zakłodzia, Gruszki, Sąsiadki dodatkowo wypełniały obszerne nawy kościoła w Mokrem-Lipiu.

Po niemal dwu godzinach kościół wypychał ludzką falę w drogę powrotną. Zmarznięci uczestnicy nabożeństwa poruszali się żwawo mobilizowani dodatkowo wizją pieczonych w piecu chlebowym żeberek i

„joncznicy” (gryczanej kaszanki) oraz wędzonej, często również pieczonej kiełbasy.



Kościół w Mokrym Lipiu

W pierwszy świąteczny dzień ludzie krzątali się dosyć niemrawo, ci, którzy nie byli na pasterce wybierali się na późną mszę, do pozostających należał konieczny oporządek, a że w izbie robiło się zimno również rozpalenie pod kuchnią i przygotowanie ciepłej strawy. W dzień św. Szczepana powracała energia, znikająca z podłogi słoma, po powrocie z kościoła opowiadano sobie, kto najmocniej obsypał księdza rzuconym zbożem. Dziewczęta podekscytowane oczekiwały, który kawaler zostanie im „przedzielony” i właściwe było po świętach.

Od Świąt Trzech Króli życie zaczynało toczyć się pozornie bardziej monotonnie. Nie znac to, iż brakło zajęcia.

Przygotowanie drzewa na opał zabierało sporo czasu. Trzeba je było przywozić z lasu, ciąć piłą, co nie było pracą lekką, rąbać grubsze klocki przynosić drewno do chaty. Codzienny oporządek również wymagał sporo wysiłku, nie wystarczało zadać karmę; należało ją przygotować: naciąć siczki i buraków dla bydła, dla świń sparzyć plewy i zmieszać je z gotowanymi obierkami, etc.

Kobiety po krzątaniu przy kuchni wieczorami siadały niekiedy samotnie, częściej z przybyłymi sąsiadkami do kądzeli. W izbie panował mrok rozświetlany jedynie płomykami palących się pod kuchnią drewnem lub mdłym płomyczkiem zasilanej terpentyną lampki naftowej. Z perspektywy „swojej chałupki” i ze względu na wiek (10 lat) byłem raczej obserwatorem niż uczestnikiem owych prac, niekiedy moim obowiązkiem było przyniesienie drzewa do pieca. Niecierpliwiły mnie jednak owe mrozy utrudniające pobyt na

dworze i powodujące ograniczenia w oświetleniu. Z utęsknieniem, więc oczekiwałem cieplejszych i dłuższych dni.

Wraz z nadejściem Wielkiego Postu przybyło nieco „atrakcji” w postaci pieśni postnych i gorzkich żalów. Niedziela Palmowa nieodwołalnie zwiastowała wiosnę. W Wielką Sobotę ksiądz objeżdżał wioski świecąc pożywienie. W Podborczu odbywało się to najczęściej w zagrodzie Walentego Piwowarka. Ponieważ ludzie dosyć rygorystycznie podporządkowywali się kanonom postu przez cały jego okres, tym chętniej oddawali się obżarstwu podczas świąt.

Nasz czas zaczynał się w „lany poniedziałek” W ruch szły nie tylko wiadra, dzbanki, konewki i garnki, również różnego rodzaju sikawki i sikaweczki. Nie były to zabiegi bezinteresowne. Oblane dziewczyny za nasz „trud” winny się zrewanżować już w najbliższą sobotę pisankami. Kolejnym rewanżem było ofiarowanie pisankodawczyniom jakiegoś drobiazgu zakupionego na odpuszczenie. Były to zabawy dostępne dla nastolatków; „kawalirkę” i panny tego typu igraszki nie interesowały.

Czasem malowania jajek był pierwszy tydzień po Wielkanocy. Podstawowe narzędzie stanowił „pisak”. Był to skręcony z blachy malutki lejek o średnicy około 1-2 cm wetknięty w prymitywną rączkę. W ów lejek wtykano odrobinę wosku i ogrzewano go nad świecą do momentu roztopienia Następnie prowadząc końcówkę pisaka po powierzchni jajka rysowano ciekłym woskiem wzory. Niekiedy wzór bywał niepełny. Po włożeniu jajka do farby i jego zabarwieniu oraz wysuszeniu wpisywano uzupełniające element i ponownie je barwiono innym kolorem. Zabieg taki można było powtarzać. Łatwo zauważyć, iż ilość kolorów zapisanego wzoru zależała od ilości kąpieli jajka. W razie kłopotów z uzyskaniem sztucznych barwników niektóre z nich można było zastąpić naturalnymi. Np. bardzo popularne były łupinki cebuli dające skorupce ładny brązowy kolor.

Oczywiście, iż Wielkanoc nie była jednym urokiem wiosny. Jeszcze przed nią wybrałem się do lasu na Szczebrzeskiej Podłoże pokrywały szybko malejące płyty śniegu, a pomiędzy nimi wychylały się przebiśniegi i zawilce Przyniosłem do domu bukiet kwiatów jako oczywisty dowód wiosny. W maju odbywały się pod figurą w sadzie nabożeństwa majowe. Polegały one na wspólnym śpiewaniu litanii i dodatkowych pieśni na tę okazję. Dla dzieci była to okazja do wieczornej zabawy.

Wraz z innymi budynkami spłonęła we wrześniu na „nawsiu” chata przeznaczona na szkołę i mieszkanie nauczycielskie. Zainteresowani mieszkańcy wioski dogadali się z Janem Wypychem posiadającym duże pomieszczenie, w którym zlokalizowano izbę lekcyjną. Przedwojenna czteroklasowa szkoła powszechna już w swych założeniach była nie demokratyczna, bowiem po siedmioletnim uczęszczaniu otrzymywało się świadectwo ukończenia czterech klas zamykające drogę dostępu do dalszego kształcenia.

Cztery klasy uczył jeden nauczyciel. Łączone były klasy pierwsza z drugą i trzecia z czwartą. Program klas pierwszej i drugiej był realizowany każdorazowo w ciągu roku, natomiast w dwóch następnych przedstawiał wręcz kuriozalne rozwiązania: Do klasy trzeciej należało uczęszczać dwa a czwartej trzy lata. I tak; do klasy trzeciej uczęszczać mieli dziewięć i dziesięciolatkowie zaś czwartej jedenasto, dwunasto i trzynastolatkowie. Odpowiednio istniały dwa i trzy rodzaje podręczników sygnowanych; kurs „A” i „B” dla kl. III, oraz „A”,

"B" i "C" do kl. IV. (tzn. podręczniki a i b dla III klasy na dwa lata nauki, i a,b,c na trzy lata nauki w klasie IV--przypis RK)

Rok 1940 rozpoczął narastające trudności aprowizacyjne. Rolnikom wyznaczone zostały kontyngenty zbożowe, natomiast bydło rzeźne zabierano na przeglądach stanu inwentarza wsi jedynie na podstawie wyglądu zewnętrznego zwierzęcia. Odpłatność „góralami” (potoczna nazwa okupacyjnych pieniędzy-banknot 500 złotych miał wizerunek górala) stanowiła znikomą część faktycznej wartości dostarczonych produktów. Rekompensowano to przydziałami, dosyć obficie taną wódką i skąpo produktami z żelaza lub podłej jakości łokciowizną.

Dodatkową ilość ziarna usiłował uzyskać okupant w postaci kontrolowanych przez siebie „odsypów” sięgających ca. 20% przywiezionego do przemiału zboża. Zamknięto w tym celu wszystkie małe okoliczne młyny, pozostawiając jeden większy w Zakładzie. Jego właściciel p. Gałęzowski był zobowiązany dostarczać całość „odsypu” Niemcom. Ten stan rzeczy spowodował, iż tu i ówdzie pojawiły się żarna. Moje wspomnienie o owym narzędziu jest wręcz koszmarne-wydajność ręcznego młynka do kawy, uciąg kieratu.

Innym niemieckim pomysłem był handel wymienny; kilo jajek w zamian z kilogramem cukru. Ten proceder przynosił przez czas pewien efekty, dopóki okupantom nie zachciało się podnieść dwukrotnie wartości cukru. Wówczas chłopcy podjęli udane próby chałupniczego przerobu buraka cukrowego. Cukru, co prawda nie produkowano, jedynie „miód”. Zapachem przypominał swoje buraczane korzenie, najważniejsze, iż był słodki i nadawał się doskonale do pieczenia piernika, który smakował nie gorzej niż ten z komponentem wytwarzanym przez pszczoły.

Kolejnym okupacyjnym problemem było obuwie. Powszechnie stosowanie drewniaków wynikało z konieczności nie zaś z mody. Brak było szczególnie skór na podeszwy ta, bowiem wymagała b. długiego garbowania. Łatwiej otrzymywało się skóry miękkie wyprawiane w ałunie chromowym bądź zwykłym. Wyprawiano je również w korze z drzew. Surowcem z zasady były skórki cielęce. Szewstwo i kamasznictwo to zajęcia wówczas dość powszechne i z obuwem nie było większych kłopotów. Inna sprawa to jego jakość i wygoda. Kobiety i tak idąc do kościoła zakładały trzewiki dopiero przed jego bramą, zapewne dla oszczędności, ale i z przyzwyczajenia. Produkowano również pastę do butów, z sadzy i z łatwo dostępnej, bo produkowanej w brodzkiej „Alwie” kalafonii. Kłopoty z mydłem sprawiły, iż również ten artykuł nauczono się wytwarzać we własnym zakresie. Nie był to produkt światowej klasy jednak do obmycia brudu i prania mógł być wykorzystany.

Były dwa sposoby prania lnianej bielizny i pościeli. Jednym było „zolenie”: Do trójnożnej beczki [zolnika], wyposażonej w dno w otwór, oraz zamykający go kołek wkładano lnianą odzież i pościel, i przesypany ją miałkiem popiołem a następnie zalewano wrzątkiem. Po wypuszczeniu otworem u dołu z „zolnika” „zoły”, bieliznę kilka razy płukano zalewając wodą i wypuszczając ją dołem. Tylko w cieplejsze dni można było prać za pomocą kijanki tj. niewielkiej płaskiej deseczki wyposażonej w rączkę. Wówczas kobiety wyprawiały się nad rzekę zabierając przeznaczoną do prania bieliznę, kijankę, owo w domu wyprodukowane mydło i dużą deskę, którą rozkładało się na brzegu w bezpośredniej bliskości przepływającego nurtu wody. Pranie polegało na wielokrotnym uderzaniu namoczonej i namydłonej bielizny

krawędzią kijanki następnie płukaniu w przepływającej wodzie, którą to czynność powtarzano kilka razy.

Rzeka nie była jedynie domeną praczek. Tu w ciepłe dni chodziliśmy się kąpać do „Łypowego Bełku”(bełkami nazywano głębsze zakola rzeczne), a że w/w. leżał blisko zagrody rolnika nazwiskiem Łyp stąd owa nazwa. Co więcej było to jedyne dostatecznie głębokie nadające się do kąpieli miejsce, na dodatek położone między Podborczem a Dzielcami i z powodu obopólnych roszczeń do wyłączności będące areną walk nagusów na kamienie i grudy ziemi.

Tu również odbywała się propedeutyka anatomii, seksuologii i erotyzmu najczęściej w postaci soczystych fraz. Po latach chcę stwierdzić, iż z niektórymi terminami z anatomii użytkowej z czasów dzieciństwa nie zetknąłem się w innych regionach Kraju. Kobiety i dziewczęta dokonywały ablucji z reguły wieczorem, tłumacząc, iż o tej porze woda jest cieplejsza. Sądzę że nie była to do końca prawdą. Po upalnym i pracowitym dniu ciała ich były przepocone i pokryte brudem. By się solidnie obmyć potrzebne były miejsca płytsze i z zasady bardziej widoczne. Zmrok przysłaśniał nagość i to było zasadniczym motywem. O podglądaczach mówi zasłyszana wówczas przyśpiewka: „Przy zielonej łączce panny się kąpały. Na wierzby gałązkach majtki rozwieszały. Paweł, jak to Paweł ma swoje kawały, zatrzęsł gałązkami, majtki pospadały. Przestraszone panny zebrały się w kupę, każda swoje majtki zaciąga na d...” .

Istotnym powodem przyciągającym chłopców nad wodę było wędkowanie. Do długiego prostego, leszczynowego kija przywiązywało się mocną nitkę, wykonaną z konopnego włókna. Do nitki wiązało się wykonany z kory sosnowej splawik, zakończenie stanowił wygięty z agrafki haczyk i wędka była gotowa. W rzeczce było stosunkowo dużo ryb, a ich wielkość proporcjonalna do rozmiarów środowiska.

Przy rozwalającym się młynie znajdowała się sprawnie regulująca poziom wody w stawie zastawa, jednocześnie w niedawnej przeszłości tworząca zasoby energii dla nieczynnego obecnie młyna. W górze rzeczki istniały jeszcze młyny w Gorajcu i Czrnymstoku. Poniżej młyna znajdowało się niewielkie rozlewisko u jego zwężenia mostek. Wędkowanie rozpoczynało się najczęściej koło zastawy.

Łowiło się z mostku kielbie potem wędrowało się wzdłuż rzeczki rzucając wędkę we wszystkich dostępnych miejscach. Rybki brały chętnie, choć ich wielkość nie imponowała. Były jazie, płotki, szczupaki, liny, miętusy. Spory odsetek schwytych okazów przekraczał wagę 1 kilograma Poza tym w jednym z „bełków” zauważyłem węgorza.

Na początku 1941 roku intensyfikuje się bandytyzm. Giną pierwsze rabowane w chlewach świnie w niektórych domach pojawiają się bandyci, rabując wartościowsze ich zdaniem przedmioty. Rosną kwoty kontyngentów, co przy niewielkich plonach z hektara jeszcze bardziej zuboża ludność. W drugiej połowie 1941 r. lub wiosną następnego zastrzelony został we własnych zabudowaniach młody rolnik Wojciech Ż. Bardzo dyskretna pogłoska łączyła jego śmierć z powiazaniami z bandą Szpugi, jak ją lokalnie określano "Szpużakami". Sprawa ta pozostanie zapewne jednym z małych niewyjaśnionych epizodów tamtego czasu, jakich wiele i zapewne już dziś nikt o niej nie pamięta. (Pamiętam, że banda ta grasowała w okolicach Kawęczyna i Topólczy i została zlikwidowana z wyroku podziemia--przypis RK)

W październiku i listopadzie 1942 r. dotarły informacje o potwornych zbrodniach dokonywanych przez hitlerowców w okolicznych miastach, miasteczkach a nawet wsiach. Osoby wracające ze Szczepieszyna opowiadały o setkach na kirkut prowadzonych Żydów, o wszędzie leżących trupach i było to przerażające.

Tutejszy chłop nie był antysemitą. Z Izraelitami wiązały go rozliczne drobne interesy. Żydzi z zasady byli dzierżawcami chłopskich sadów, odbiorcami nabiału i ziemiopłodów, oraz zwierząt rzeźnych. Żyd był głównym pośrednikiem w handlu. Można, więc stwierdzić, że łączyły ich w okresie przedwojennym, a nawet w pierwszym okresie okupacji wielostronne interesy. Chłop nie miłował na pewno „ludu wybranego” jak czynił to Jahwe, raczej traktował go z pewną lekko kpiącą pobłażliwością. Świadczyły o tym liczne, krążące „kawały” na żydowskie tematy, niezmiennie opowiadające o tym jak to chłop Żyda w pole wywiódł.

Niewielkiemu odsetkowi (kilkudziesięciu osobom) udało się umknąć przed holokaustem nie oznaczało to niestety ocalenia. Bytujący w jarach i Cetnarze nieszczęśnicy potrzebowali do przetrwania pomieszczeń i te jakoś sobie urządzili kopiąc w lasach i na zboczu jarów prymitywne ziemianki. Natomiast strawy zmuszeni byli szukać w okolicznych wioskach, a tej, co raz bardziej brakowało. Dodatkowo mieszkańcy wiosek obawiali się represji ze strony okupanta, gdyż za pomoc Żydom groziła kara śmierci dla całej rodziny. Jedynym, co im pozostało to zdobywanie żywności przemocą. Zorganizowana przez nich szajka rabunkowa, w skład, której wchodziło dodatkowo kilku „plennych” (zbiegłych z niewoli rosyjskich jeńców) stała się nader uciążliwa dla mieszkańców pobliskich wiosek.

W nocy z 15/16 maja 1943 r. zbudziła wieś ostra strzelanina. Rankiem okazało się, iż na przecięciu ścieżki z rzeczką zabitych zostało pięciu osobników domniemanych bandytów. Słyszałem dwie wersje owego wydarzenia, jedna mówiła o rozprawieniu się z bandą przez granatowych policjantów z Radeczniczy, druga, iż to sami chłopci zorganizowali się w celu zlikwidowania bandytów. Ta druga wersja jest bardziej prawdopodobna, bowiem wyraźnie w nocy słychać było karabin maszynowy a granatowi tego typu bronią nie dysponowali. Owa kanonada z połowy maja była początkiem rozwijającego się dynamicznie biegu wydarzeń drugiej połowy roku 1943 aż do końca czasu okupacji w lipcu 1944 r. (Autor ma tu na myśli organizowanie się i działalność oddziałów partyzanckich—przypis RK)

Paradoksalnie z klęskami armii niemieckich na arenach wszystkich frontów wzmogła się represyjność wobec okupowanej Europy, szczególnie zaś wobec ludności Generalnej Guberni. Już pod koniec czerwca 1943 r. dwa niemieckie samoloty zaczęły krążyć nad wioską. Niebawem na polach od strony Chłopkowi zauważyłem liczne sylwetki w zgniło - zielonych mundurach. Otoczywszy wioskę niemieccy żołnierze wyprowadzali z zabudowań i chat mężczyzn. Trzeba przyznać, iż nie poszukiwali zbyt gorliwie i ci, którzy zdążyli się ukryć przetrwali na miejscu do końca wojny. Pochwytyanych umieszczono na placu w południowym końcu wioski. Następnego dnia całą grupę poprowadzono do obozu przejściowego w Zwierzyńcu. Pozostali mieszkańcy wioski byli kompletnie zdezorientowani i nie wiedzieli, co dalej czynić; uciekać czy pozostać na miejscu?

My tzn. mama, dziadkowie i ja z siostrą znaleźliśmy chwilowe schronienie w Radeczniczy. Za drutami w Zwierzyńcu znalazł się ojciec. Po

kilkudniowym pobycie w Radecznicy wróciliśmy do Podborcza. Tu zastaliśmy sporo nowych twarzy. Byli to mieszkańcy Sułowa, którzy zostali wypędzeni ze swej miejscowości do rzekomo pustych wiosek.

Powoli klarowała się sytuacja ludzi zamkniętych w zwierzyńskim obozie, któremu należy poświęcić kilka słów; Pierwotnie obóz był przeznaczony dla jeńców sowieckich, których w ogromnej większości szybko zagłodzono na śmierć. Tylko nieliczni zostali wcieleni do kolaborujących z Niemcami jednostek wojskowych. Po krótkim przestoju stał się on głównym punktem przejściowym dla polskiej ludności z pacyfikowanej Zamojszczyzny. Przeszły przez niego dziesiątki tysięcy ludzi w tym większość to kobiety i dzieci. Nie było to w pełnym znaczeniu miejsce eksterminacji, jednak były liczne ofiary z powodu straszliwych panujących tam warunków, oraz tortur w "śledztwach". Podstawowym celem owej akcji pacyfikacyjnej z lata 1943r. była zapewne potrzeba dostarczenia dostającym zadyszki niemieckim przemysłowi i rolnictwu bezpłatnej siły roboczej, dodatkowymi osłabienie ruchu oporu odcinając go od źródeł zaopatrzenia, wreszcie mimo klęsk militarnych utworzenie na Zamojszczyźnie enklawy niemieckości.

Tylko nieliczne osoby zostały wypuszczone z obozu znakomitą większość wysłano do pracy przymusowej na teren Reichu. Znalazł się wśród nich i mój ojciec wywieziony w okolice Rymarzowa w Sudetach Jesienią tego roku zdarzyło się coś, co niemal graniczyło z cudem: ojciec powrócił do rodzinnej wioski. Pozornie wszystko było zgodne z logiką uprzednio zaistniałych faktów. Mama po sygnale od ojca informującym o miejscu pobytu skontaktowała się ze znajomą w Lublinie (pracownicą Arbeitsamtu), która obiecała wysłać ochotnika w miejsce ojca i tak się też stało. Efekt jak wyżej. Tyle tylko, iż logika tamtego czasu była zjawiskiem porównywalnym z cudem.

Rok 1944 podobnie jak trzy poprzednie miał być ostatnim rokiem wojny. Mimo braku w większości domów zabranych na roboty w Niemczech mężczyzn, ludzie jakby wyżej podnosili głowy. To, iż jest to ostatni rok okupacji zdawało się być pewnikiem. Jedyną obawą sprawiało pytanie, jakie zagrożenie spowoduje wycofująca się hitlerowska armia. O zbliżaniu się Rosjan mówiły eskadry bombowców lecące nocą w zachodnim kierunku oraz liczne i dobrze uzbrojone oddziały sowieckiej partyzantki raz za razem przemierzające się w różne strony. Wiosną zorganizowane zostało tajne nauczanie na poziomie pierwszej klasy gimnazjum. Wykorzystano izbę wynajętą u jednego z rolników na Starowisi (tak potocznie nazywano Gorajec Starą -Wieś) i służącą jako salka miejscowej szkoły powszechnej. Było nas dziewięcioro. Z Podborcza chodził Rysiek Gaczol syn nauczyciela i ja. Kolejnymi nauczycielskimi dziećmi byli Jurek Hasiel, i Dusia Świstacka, Ludwika i Zosia Wróblówna były siostrami partyzanta por. "Betona" również z zawodu nauczyciel, a Kazia (Mogielnicka?) ich kuzynką. Zajęcia prowadzili nauczyciele miejscowej szkoły p. p. Hańcowie, p. Kuna ze Smorynia oraz F. Piwowarkowa.

W połowie czerwca na Szczebrzeskiej pojawiły się konwoje niemieckich furmanek. Były to nie tylko tabory wojskowe, również wozy z „czarnymi”, zasiedlonymi w zabranych polskim rolnikom wsiach volksdeutscheami z Besarabii, i innymi "deutscheami" zdążające polnymi drogami w zachodnim kierunku przez Frampol i dalej. Szlak, wykorzystywany zapewne już przez Dymitra z Goraja; średniowiecznego właściciela tej ziemi, stał się trasą ucieczki niedawnych „nadludzi”. Wiódł on przez Gorajec i z tej prostej przyczyny zajęcia nasze kontynuowane być nie mogły. Oczywiście też było, iż nadchodzi kres

okupacji. Czekano, więc na dalszy rozwój wydarzeń niecierpliwie, ale i z pewną dozą obawy.

Wędrówka furmanek z różnym nasileniem trwała również wówczas, gdy pod koniec czerwca usłyszeliśmy kanonadę broni maszynowej i armat. Nie były to jednak odgłosy zbliżającego się frontu, lecz bitwy, otoczonych przez potężne niemieckie zgrupowanie oddziałów partyzanckich, w południowej części Puszczy Solskiej; Bitwy pod Osuchami zakończonej straszliwą klęską akowsko - bechowskiego zgrupowania. Na Szczepreskiej przez cały czas, aż do przełomu drugiej i trzeciej dekady lipca wlokły się wozy niekiedy poprzeplatane stadami pędzonego bydła. Potem wertepami i zboczami Szczepreskiej runął przemieszany z końmi, krowami i piechurami, z ogromnym harmiderem i bałaganem potok pojazdów zmechanizowanych.

Od strony Radecznic przejechały pierwsze czołgi. W mgnieniu oka znaleźliśmy się wraz z innymi na kartoflisku, około pięciuset metrów od zabudowań. Było późne popołudnie. Niebawem dotarł zgiełk o strony Podborcza, szwargot biwakujących i szukających wyjścia z matni przerażonych wermachtowców (dostali się w „kocioł”--przypis RK). Wokół łuny płonących wiosek. Palił się Gorajec, paliła Radecznic. Tu i ówdzie słyhać pojedyncze strzały i maszynowe serie. Nad ranem widać na wzniesieniu Szczepreskiej sylwetkę czołgu strzelającego zapalającymi pociskami w zabudowania Szperówki. Postanowiliśmy przejść w kierunku Chłopkowa, a następnie w jary za tą miejscowością. Kolejny trzeci już dzień rozpoczął się spokojniej. Panująca cisza prowokowała do powrotu. W połowie drogi spotykamy sowiecki patrol. Mijamy się z obustronnym zaciekawieniem jednak bez szczególnych serdeczności.

Wioska ocalała. Wczorajsze dymy w tej stronie spowodowane były podpaleniem porzuconych zawartości samochodów uznanych przez wycofujących się za zbędne i utrudniające odwrót. W naszych izdebkach pełno słomy. Uprzednia zawartość mieszkania została najzwyczajniej wyrzucona na zewnątrz.

W podświadomości zdawałem sobie sprawę, iż kończy się okupacyjny koszmar.

W połowie sierpnia 1944 r. mama otrzymała zaproszenie do odwiedzenia w Szczepreszynie pani Janiny Józwiakowskiej, znajomej i koleżanki jeszcze w latach dwudziestych, z czasów zamojskich, aktualnie żony uwięzionego w Dachau dyrektora szczepreskiego gimnazjum. Jakkolwiek sprawa była oczywista i oczekiwana z pewnym poruszeniem przyjęta zastała zapowiedź końca pięcioletnich przymusowych wakacji.

Już następnego dnia tradycyjnym szlakiem przez kładkę na rzeczce (mostek niedawno wysadzili sowieccy partyzanci) wyruszyła mama w dziesięciokilometrową podróż w kierunku miasteczka. Droga przez "Szczepreską" pokonywana była przez nas wielokrotnie w czasie okupacji i potem, Za każdym razem zachwycałem się jej urokiem. Po przebyciu odcinka przecinającego poprzecznie łąki na dnie doliny wchodziło się w obszerny unoszący się ku górze wąwóz, który swe apogeum osiągał w pobliżu "Kobylego Dołu"--jednego z najgłębszych w tych stronach jaru, o porośniętych potężnymi grabami i bukami stromych zboczach. W ostatnich kilku latach miejsce to cieszyło się złą sławą, bowiem dosyć często zdarzały się tu napady rabunkowe na przejeżdżające furmanki. Dalej szlak wijąc się łagodnie opadał

ku miasteczku roztaczając przepiękne widoki na Naporze i dolinę Wieprza. Kończył się on w Szczebrzeszynie ulicą Cmentarną, ewentualnie Gorajską.

W kilka dni po owej matczynej eskapadzie nastąpił wyjazd furmanką z Podborcza. Na wozie znajdowało się kilka gratów przywiezionych jeszcze na początku wojny z Niska, oraz nieco zaprowiantowania na pierwsze dni i moja rodzina w komplecie, z pełniącym rolę furmana dziadkiem. Po niezbyt komfortowej podróży furmanka stanęła przed dużą metalową bramą dwupiętrowej kamienicy przy ul. Zamojskiej. Po jej otwarciu i wjeździe na wąskie podwórze zawartość wozu została wniesiona do pomieszczeń na pierwszym piętrze. Po prowizorycznym jego ustawieniu tato i dziadek ruszyli w drogę powrotną, byli nieodzownie potrzebni w pracach polowych w Podborczu.

Pozostaliśmy we trójkę; mama, młodsza siostra Lusja i ja. Położone na pierwszym piętrze mieszkanie składało się z wąskiej kuchni i takiegoż pokoju. W całości usytuowane było nad bramą wjazdową. Po przeciwnej stronie zamieszkiwali właściciele kamienicy p.p. Wanda i Józef Ząbkowie wraz z dwoma córkami, zaś całość pomieszczeń drugiej kondygnacji zajmował sowiecki wojskowy, "lazaret". W pierwszych miesiącach następnego roku Rosjanie opuścili kamienicę i zamieszkaliśmy w części uwolnionych pomieszczeń. Obok zamieszkała pełniąca funkcję dyrektora gimnazjum pani J. Józwiakowska, zaś po przeciwnej stronie klatki schodowej trzy niewiasty oczekujące na okazję do powrotu w swe pomorskie strony.

Wszystkie higieniczno-bytowe sprawy należało załatwiać na podwórzu. Tam znajdowały się: studnia, komórki na opał, śmietnik oraz wiadomy przybytek z wykopanym pod spodem dołem. Ze względu na stojący nad Wisłą front miasteczko pełne było sowieckich lotników obsługujących pobliskie czynne lotnisko w Klemensowie. Zajmowali oni wszystkie trzy obiekty gimnazjum również budynek szkoły podstawowej i kilka prywatnych kamienic przy ul. Zamojskiej.

Z tego względu sytuacja szkół pod względem lokalowym była niezmiernie trudna. Jedynym możliwym do wykorzystania obiektem okazał się budynek magistratu przy ul. Zamojskiej 18 (obecna szkoła zawodowa) oraz położony obok parterowy budynek tzw. małej szkoły. Dodatkowo brakowało niemal wszystkiego: tablic, krzesel, książek itd. Zajęcia trwały więc na trzy zmiany: Pierwsza była w dyspozycji szkoły podstawowej, dwie następne wykorzystywało gimnazjum.

Przed inauguracją zajęć odbył się egzamin wstępny dla tych osób, które nie posiadały zaświadczeń upoważniających do uczestniczenia w danej klasie. Większość kandydatów do klas II, III i IV stanowili absolwenci odpowiednio niższych przedwojennych klas miejscowego gimnazjum. Należałem do grupy kilkunastu osób aspirujących ze względu na uczestniczenie w tajnym nauczaniu do kl. II - egzamin był jedynie formalnością.

Efektom reaktywowania szkoły po okupacyjnej przerwie było powstanie ośmiu oddziałów czterech klas gimnazjalnych. I tak klasa pierwsza miała cztery oddziały; "a", "b", "c" oraz "d", klasa druga, to oddziały "a" i "b" zaś klasy trzecia i czwarta były pojedyncze. Ze względu na kilkuletnią okupacyjną przerwę pod względem wieku młodzież była mocno zróżnicowana. By te różnice nieco zniwelować część oddziałów miał status klas przyspieszonych tzn. realizujących materiał roczny w czasie semestru. "Przyspieszonymi" zostały kl. kl. I "d", II "b", III i IV, resztę stanowiły oddziały "normalne". W roku następnym przyspieszeniu uległa również była kl. I "c".

Szczebrzeszyn szczególnie w latach 1944 -- 1946 stał się niepowtarzalnym tygłem etnicznym. Licznie pojawili się "wysiedleńcy" z Pomorza, Wielkopolski i Śląska, którzy w większości przebywali uprzednio w okolicznych wioskach. Uzupełnili ich uchodźcy z ogarniętych ukraińską rzezią pobliskich terenów: Zachodniego Wołynia, oraz Podola i Wschodniego Podkarpacia. Do szkoły garnęła się również licznie młodzież z pobliskich wiosek i to ona stanowiła znaczny odsetek środowiska uczniowskiego.

Byliśmy pokoleniem największego zawirowania w dwudziestowiecznej historii Europy, z korzeniami tkwiącym w okresie przedwojennych realiów, hartowanym wojennym terrorem, a w niedalekiej przyszłości skazanym na zabiegi łamiące charakter. Z całą stanowczością pragnę jednak stwierdzić, iż było to pokolenie najbardziej w całym nadchodzącym pięćdziesięcioleciu odporne na koniunkturalizm i karierowiczostwo, z wielką rezerwą odnoszące się do coraz bardziej zakłamanej rzeczywistości, a jednocześnie bardzo kreatywne intelektualnie, oraz zawodowo.

Zdaje sobie sprawę, iż wspomnienia te to dla większości "tylko" historia, dla wielu nawet zamierzchła. Nie wolno jednak zapominać, iż koniec każdej historii przechodzi we współczesność i jest owej współczesności istotnym determinantem.

Powracam jednak do tematu i parę słów chciałbym poświęcić składowi personalnemu mojej klasy z lat 1944/1945. Była to wówczas klasa II "a" złożona z młodszych roczników i z tej przyczyny "normalna". Postaram się przytoczyć nazwiska zapamiętanych osób z nadzieją, iż wszystkie uda mi się ująć. Były, więc 1/Antczak (?) 2/ Berbeć Czesława, 3/ Halina Jasiukówna 4/ Gąskówna Halinka, 5/ Grono Danusia, 6/ Kierkus Elżbieta, 7/ Łopuszyńska Marysia, 8/ Łopuszyńska Zosia, 9/ Skurczyńska Zdzisława, 10/ Smal Zosia, 11/ Słotwińska Wanda, 12/ Saciuk Hanka, 13/ Świtaj Anna, 14/ Ząbkówna Marysia, oraz chłopcy, 15/Czesław Bartnik, 16/Józef Bartnik, 17/Tadeusz Berdak, 18/Edmund Borowiec, 19/Zdzisław Budzyński, 20/Julian Bykowski, 21/Rysiek Józwiakowski, 22/Mirosław Kalita, 23/Tadeusz Kalinowski, 24/Marian Kasza, 24/Cezary Klus, 25/Jerzy Kołataj, 26/Tadeusz Kościelski (Klukowski), 27/Tadeusz Kulmaga, 28/Jerzy Mucha 29/Lucjan Nędzyński, 30/Tadeusz Olcha, 31/Tadeusz Paździora, 32/Aleksander Piwowarek, 33/Bogdan Zaborski.

Obowiązki dyrektora Gimnazjum w imieniu przebywającego w obozie koncentracyjnym męża pełniła p. Janina Józwiakowska. Wychowawcą klasy był inż. Andrzej Pomarański, on też uczył matematyki, języka polskiego uczyła Felicja Piwowarkowa, historii p. Józef Niechaj, j. niemieckiego p. Rzepecka, łaciny początkowo krótko ks. Popielec następnie p. Jerzy Lubos, o pierwotniakach opowiadał Antoni Podlewski, wychowaniem fizycznym parali się p.p. W. Łukomska oraz F. Głąb, nauczycielem prac ręcznych był p. Jan Kot, p. Kazimierz Jonko uczył śpiewu, p. Sławek edukował nas w geografii, religia zaś była domeną ks. Franciszka Kapalskiego. Pochodząca z Gorajca pani Haścowa uczyła polskiego w klasach pierwszych.

Bezpośrednio po wkroczeniu Sowietów miasteczko sprawiało wrażenie miejscowości przyfrontowej i tak istotnie było. Stacjonujący w gmachach szkolnych lotnicy codziennie startowali na maszynach zwanych przez nich "szturmowikami" (samoloty współpracujące z działaniami naziemnymi). Kilkakrotnie zdarzyło się, iż samoloty roztrzaskiwały się o płytę lotniska w Klemensowie. Efektem tych katastrof były żołnierskie mogiły na cmentarzu w

Szczebrzeszynie, oznakowane smukłymi ostrosłupami zakończonymi pięcioramienną czerwoną gwiazdą.

Niekiedy obserwowaliśmy wyskakujących z postrzelonego "Jaka" na spadochronach ludzi. Front zatrzymał się na Wiśle. Przez miasteczko często przemieszczało się wojsko. Dwa razy przejechali "berlingowcy". Od zachodu niekiedy słyszało się odgłosy armat.

Mimo wszelkich zastrzeżeń i wątpliwości owo "wyzwolenie" należało uznać za fakt pozytywny, gdyż po likwidacji Żydów cały impet hitlerowskiego terroru skierowany został przeciwko społeczeństwu polskiemu. Groźba totalnej zagłady była nie tylko realna, ale i bardzo bliska. Nie sposób powiedzieć ile w przyjaznej postawie sowieckich żołnierzy było odgórnego nakazu, ile zaś spontaniczności.

Zdarzały się niekiedy scenki humorystyczne; kilkakrotnie rosyjskie "żołnierki" z ciekawości oglądające wnętrze kościoła ostentacyjnie zdejmowały swe nakrycia głowy. Kolega zajmujący się amatorsko fotografią opowiadał mi jak dostał od rosyjskiego oficera dodatkową premię w postaci dwóch puszek "tuszonki", będących nagrodą za domalowanie na fotografii wykonanej na rzecz tegoż oficera zegarka, którego ów bohater w rzeczywistości nie posiadał.

Niechęć, a może tylko rezerwa do owych "sojuszników" była dosyć powszechna i uzasadniona nie tylko ideologicznie, lecz przede wszystkim spowodowana niedawnymi faktami. Zsyłki z lat 1939-1941 były szeroko znane, podobnie jak nabierający wymiaru symbolu mord katyński. Dochodził do tego problem aneksji ziem wschodnich. Mimo owych faktów zachowanie żołnierza frontowego w 1944 r. należy uznać za poprawne.

Niechęć wynikająca z patrzenia na Rosjan i członków innych narodowości tego olbrzymiego kraju jedynie przez pryzmat imperialnej polityki zarówno białego jak czerwonego Kremla jest po prostu błędna.

Jednak o tym, iż jedynym celem Armii Czerwonej nie jest altruistyczne wyzwolenie braterskiego narodu już wkrótce przekonać się miałem wielokrotnie, o czym poniżej; -wiosną 1945 r. ojciec poszedł do niewielkiej knajpki, której właścicielem był pan Krysa. Miał zamiar zaopatrzyć się w wędlinę przed powrotem do Podborcza (jego pomoc w pracy na roli była w owym czasie niezbędną). W knajpce siedziało dwu osobników w mundurach czerwonoarmistów. Jeden z nich był autentycznym oficerem [enkawudzistą] sowieckim, drugim znanym miejscowym renegatem i kapusiem o nazwisku Romanowski. Na obcesową propozycję picia wódki tato zareagował szybkim wyjściem i pospiesznym udaniem się do domu. Po kilku chwilach drzwi zostały wyważone i zaczęła się szamotanina, której celem było aresztowanie ojca. Interweniowały sąsiadki z mieszkania obok. Na widok młodych kobiet Rosjanin zmiękł, Romanowski awanturował się w dalszym ciągu. Wymknąłem się by dać znać o burdzie przebywającej u sąsiadów pani Józwiakowskiej. Jej interwencja sprawiła przybycie dyżurnego podoficera z komendy wojennej miasta, który jednak stwierdził, iż nie ma kompetencji do interwencji.

Domyśliliśmy się wówczas, iż mamy do czynienia z enkawudzistami. Potem Romanowski położył się na moje łóżko i zasnął, Rosjanin zaś chrapał na krześle pod piecem. Rankiem po otrzeźwieniu obaj wynieśli się.

Innym razem z dwoma kolegami wybraliśmy się na przechadzkę. W okolicy mostu na Wieprzu minął nas, a następnie nieco wyprzedził samochód wypełniony "szturmówką". Urząd Bezpieczeństwa—przypis RK). Z burty zlął ofermowato wyglądający osobnik zatrzymał nas, a następnie zameldował

łamaną polszczyzną komuś w szoferce: "melduję złapaliśmy dwóch przez dowodów". Na szczęście nawinął się z tyłu miejscowy milicjant [L. Zajdlic], który nas odebrał i uwolnił.

Przez czas pewien jesienią 1944 r. na schodkach sąsiedniej kamienicy, dosyć często przesiadywał młody człowiek nazwiskiem Tadeusz Łagoda. Był żołnierzem A.K. Niebawem zniknął. Jakkolwiek okoliczności jego niewątpliwej śmierci nigdy nie zostały wyjaśnione kojarzą mi się one z działalnością owej "szturmówki". Takich skrytobójczych a często i jawnych morderstw było w tamtym czasie znacznie więcej.

I na zakończenie jeszcze jeden epizod z lekcji religii, Na początku września 1944r. ks. Kapalski pod wpływem naszych niewczesnych wygłupów łamiącym głosem stwierdził, jak bardzo nieestosowne jest nasze zachowanie wobec tragedii miasta i ludzi w niszczonej Warszawie. Słowa, które na razie nie dotarły do mej świadomości przypomniałem sobie, gdy po raz pierwszy po wojnie, w kilka dni po otwarciu mostu Poniatowskiego, kiedy przejeżdżałem tramwajem wąwozami gruzu z świecących przez obsunięte ściany bebechami wewnątrz mieszkań, trasą łączącą ruiny dwóch dworców: Wschodniego oraz Towarowego.

Owe drobne na pozór wydarzenia pojedynczo nie miałyby żadnej znaczącej wymowy. Połączone w całość obrazują tak intencje jak i metody uzależniania Kraju od Kremla. Nie jest to oczywiście jakieś obraz kompleksowy, ale i nie taki jest cel mych wspomnień.

Warto natomiast jeszcze wspomnieć nocną majową kanonadę, jaka miała miejsce z okazji zakończenia wojny. Nie spaliśmy całą noc nie znając przyczyn owej strzelaniny, dopiero rano wyjaśniło się, iż to sowiecki miejscowy garnizon wojskowy w ten sposób demonstrował swą radość. Potem już były wakacje i przygotowania do wyjazdu na pierwszy (podobno w całej "wyzwolonej Polsce") obóz harcerski. Łącznie Szczepreszaków było siedmiu. Z klasy drugiej tylko Tadzio Kościelski i ja. Pozostali z klas pierwszych. Zawieziono nas do Zamościa furmanką, nie istniał, bowiem wówczas transport samochodowy; - alternatywą mogła być jednie "buda" p. Kitowskiego (rodzaj dylizansu), lub oddalony o trzy kilometry kapryśnie kursujący pociąg.

Zbiórka nastąpiła na ul. Akademickiej przy gmachu gimnazjum Męskiego (dawnej Akademii) w Zamościu, stąd zwartą kolumną nastąpił wymarsz do położonego obok Sitańca - Wysokiego. Zakwaterowanie mieliśmy w miejscowej szkole powszechnej. Komendantem został zamojski nauczyciel Józef Bojar jego zastępcą młody człowiek nazwiskiem Woźniak, wcześniej bardzo czynny przy organizowaniu zamojskiego hufca. Po niemal sześćdziesięciu latach nie jestem w stanie precyzyjnie określić ilu było uczestników obozu nie popełnię jednak większego błędu stwierdzając, iż było nas około trzydziestu. Jedno z istotniejszych osiągnięć obozu, to złożenie przyrzeczenia opartego na przedwojennej formule - zapewne ten akt przyczynił się do braku z mej strony w przyszłości akceptacji komunistycznych organizacji młodzieżowych.

Po dwudziestu dniach nastąpił powrót Ponownie przyjechał po nas pan Roman Kołodziejczyk mieszkający w Brodach na "szlaku" (jego syn Romuald był również uczestnikiem obozu) Jechaliśmy na skróty pozostawiając Zamość po lewej stronie.

Rozpoczynający się nowy rok szkolny zapowiadał istotne zmiany. Trwała ewakuacja rosyjskiego garnizonu. Rozpoczęliśmy naukę w nowym obiekcie. Był nim jeden z dwu bliźniaczych bloków należących do gimnazjalnego

kompleksu (późniejszy internat żeński), który jako pierwszy Rosjanie zwrócili na użytek szkoły.

Duże zmiany zachodziły w środowisku szkolnym. Szczepreszyn opuścili: pani Rzepecka powracając do rodzinnego Poznania, podobnie pan Jerzy Lubos udał się do Bytomia, gdzie przed wojną pracował w jedynym polskim gimnazjum, zaś pani Haścowa z rodziną postanowiła szukać lepszej doli na "ziemiach odzyskanych" w Dzierżoniowie. Pan Sławek znalazł się w Opcznie. Nieznane jest mi miejsce emigracji pana Pomarańskiego. Pani Janina Józwiakowska dopiero w następnym roku szkolnym rozpoczęła pracę w lubelskim żeńskim gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Przybyłe osoby po wakacjach to inż. Bronisław Przysada przemiły człowiek pełen humoru i życzliwości dla młodzieży (następnie wieloletni nauczyciel matematyki), panowie Jan Cichoń i Antoni Michalski pierwszy uczący łaciny drugi niemieckiego. Przez pewien czas przedmiotów ścisłych (fizyka chemia) uczył młody pan Rogowski, Po zawarciu małżeństwa z koleżanką z naszej klasy Wandzią Słotwińską nowożeńcy przeprowadzili się do Lublina.

Dr Joanna Kopytowa uczyła historii również w latach następnych w Liceum Pedagogicznym. Po przeniesieniu się do Stoczka pod Warszawą niedługo zmarła. W czasie okupacji przebywała w Tyszowcach, gdzie na jej oczach ukraińscy rezuni wymordowali całą rodzinę. Ucząca geografii pani Antonina Głazowska następnie pracowała, aż do śmierci w 1957 r., w szczepreskim PLP. Jak meteoryty przemknęły przez gimnazjalne grono pedagogiczne siostry Doleżał; panna Maryla i pani Wanda Gumowska.

Istotne ubytki w środowisku młodzieży szkolnej nastąpiły dopiero w roku następnym. Na razie klasę opuścili "staruszkowie" przechodząc do klasy przyspieszonej, byli to: J. Bartnik, J. Bykowski, Tadeuszowie: Kalinowski, Kulmaga i Olcha, M. Łopuszyńska W. Słotwińska, M. Ząbkówna, nie przypominam jednak sobie, co stało się z Marianem Kaszą. Natomiast jestem pewny, iż w klasie trzeciej pozostali: H. Jasiukówna, D. Grono Z. Łopuszyńska H. Saciukówna, M. Kalita J. Kołataj Cz. Bartnik T. Kościelski, J. Mucha L. Nędzyński i inni. Był też Tadzio Paździora chłopiec bardzo wesoły i koleżeński znany mi nie tylko z posiadanego w domowej bielizniarce arsenału pistoletów, ale i ze sprawnego komenderowania plutonem uduszonych na lekcjach much, był i Rysio Józwiakowski, z którym stoczony przez nas na lekcji bój, stał się przyczyną godzinnej pogaduszki wychowawczej opiekuna klasy inż. Przysady. Pozostali, więc niemal wszyscy z poprzedniego roku.

Ponieważ przez naszą salę lekcyjną należało przejść do izby, w której uczyła się jedna z klas pierwszych dosyć często trójka "małych muszkieterów" komicznym sowieckim marszem urządzała sobie defiladę przez naszą klasę. Byli to Babiarz, Bizior i Saciuk: - brat Hanki. Wiele lat później w luźnej rozmowie ze mną pan inż. Przysada stwierdził, iż była to najsympatyczniejsza klasa w jego karierze nauczycielskiej - była to sympatia wzajemna.

Klasa ta w roku następnym została połączona z jedną z klas przyspieszonych (klasa pierwsza "c" z roku, 1944) Ponieważ jednocześnie był to czas zwiększonego odpływu ludności miasteczka, (odeszła spora grupa kolegów z roku poprzedniego) zostaliśmy w klasie czwartej mniejszością. Kontakty z nowymi tylko trochę starszymi kolegami układała się jednak dobrze i poprawnie. W listopadzie ze względu na stan zdrowia musiałem przerwać naukę i tak skończyła się moja edukacja w szczepreskim gimnazjum.

Powróćmy jednak do roku poprzedniego. Już we wrześniu zabrakło naszego pierwszego drużynowego Drużyny Harcerskiej Zygmunta Kasztelana. Powrócił na swoje ojczyste Pomorze. Było to zaledwie trzy miesiące po zakończeniu działań wojennych.

Ten pośpiech mógł nieco dziwić, bo czas był niebezpieczny. Po wielu latach znalazłem w jakiejś publikacji notatkę, iż oficer obrony wybrzeża Kasztelan został przez Niemców, w królewieckim więzieniu zgilotynowany.

(Był to ojciec naszego drużynowego—szef wywiadu naszej floty wojennej. Takich ludzi chowa się zawsze bardzo głęboko—tym razem się nie udało, w chwili wybuchu wojny był na Helu i nie miał możliwości stamtąd uciec. Poszedł do niewoli jako zwykły, niską rangą oficer z nadzieją, że się uchowa. Niestety kontrwywiad niemiecki rozpoznał go i natychmiast wywiózł do Królewca. Nie znamy jego dalszych losów jedynie to, że po dwóch latach został skazany na śmierć i ścięty. Możemy sobie tylko wyobrazić, jakim podlegał przesłuchaniom, podczas których chciano zapewne wydusić z niego wiadomości np. nazwiska polskich agentów pracujących w Niemczech itp.—przypis RK)

Być może to niepewność i niepokój o męża i ojca powodowały ów pośpiech. Wakat był trudny do uzupełnienia brakło, bowiem chłopca o odpowiednim autorytecie i posłuchu. Po targach wybraliśmy Romualda Kołodziejczyka. Tadzio Kościelski bardzo chętnie zgodził się zostać przybocznym. Były w tym roku biegi harcerskie połączone ze zdobywaniem sprawności i stopni harcerskich, oraz ogniska, a na wakacje kolejny obóz zamojskiego hufca tym razem w okolicy Zwierzyńca, w pięknie położonym miejscu o nazwie Bukowa Góra.

Zabrakło kogokolwiek z instruktorów. Był to prawdopodobnie protest na pierwsze próby komunistycznej ingerencji w środowisko harcerskie.

Niezapomniana pozostała w mej pamięci wycieczka do zgliszcz Soch; wioski, w której okupant przed zaledwie trzema laty wymordował niemal całą ludność, pałac jednocześnie miejscowość. Nieco dalej położona była Florianką miejsce rzadkiej roślinności i niedawnych zrzutów broni.

Zakwaterowaliśmy się w kilku dużych namiotach otrzymanych z demobilu armii amerykańskiej. Po kapitulacji Niemiec okazało się, iż funkcjonująca w licznych polskich umysłach zbliżająca się antysowiecka kruczata jest jedynie bytem wirtualnym. Zamiast Eisenhowera i jego czołgów pojawiła się UNRRA mająca potwierdzić miłość i życzliwość Amerykanów do uwolnionych od hitleryzmu społeczności. To właśnie od owej zacnej instytucji pochodziły owe nieco zniszczone i podarte namioty.

Altruizm UNRRY nie ograniczył się rzecz oczywista do namiotów dla harcerzy. Były dla polskich obywateli smalec i słonina (również w czasie trwania obozu), tak żółte jak kwitnące na łące kaczeńce, były puszki ze słodką koniną i jabłkami, największą jednak atrakcją stanowiły żołnierskie porcje żywnościowe opakowane w oblane stearyną kartonowe pudełka. Jeszcze potem przez lat kilka paradowałem w kurtce uszytej z materiału made USA. W okresie przełomu roku 1945/46 ogarnęła nas mania pisania żebraczych listów skierowanych do anonimowych rodaków w Ameryce. Efekt jak łatwo się domyślić był żaden.

Wiosną 1946r. z entuzjazmem witało miasteczko niedawno mianowanego na stanowisko metropolity lubelskiego bp, Stefana Wyszyńskiego. W auli niedawno oddanego przez Rosjan głównego budynku gimnazjum witało go

grono pedagogiczne i reprezentanci młodzieży. Wokół kościoła przez dwa dni trwały uroczystości i modły. Być może entuzjastyczne powitanie w szkole biskupa Wyszyńskiego miało jakiś wpływ na dymisję pierwszego po wojnie dyrektora gimnazjum. Myślę jednak, że zdecydował przede wszystkim powrót z obozu schorowanego męża i konieczność zapewnienia mu lepszych warunków rehabilitacji.

Jak już wspomniałem rozpoczynający się rok szkolny 1946/47 cechował duży odpływ ludności. Głównym powodem stało się zainteresowanie osadnictwem na "ziemiach odzyskanych". Zasadniczą tego przyczyną była chęć poprawienia sobie sytuacji bytowej. Sporo osób wyjeżdżało, ze względów na polityczne prześladowania by "dać nura" w obce środowisko. (Zrobiło tak wielu poszukiwanych przez UB byłych dowódców i żołnierzy AK—przypis RK) Wyjeżdżali również ostatni "wygnańcy"

Początek roku szkolnego 1946/47 nastąpił już w murach głównego gmachu gimnazjum. Budynek znajdował się, co prawda w opłakanym stanie szczególnie pod względem estetycznym, w wielu pomieszczeniach trwały remonty i malowanie. Zabrakło niezmiernie aktywnej pani dyrektorki Józwiakowskiej, do obecności, której byliśmy przyzwyczajeni i której brak się odczuwało. Jej miejsce zajął na okres zaledwie roku pan Ambroży Czarnecki.

Jak wspomniałem powyżej klasa czwarta powstała w wyniku połączenia byłych klasy drugiej "a" z pierwszą "c" z roku 1944. Stanowiliśmy w nowej konstelacji mniejszość - również pod względem wieku. Stąd owa sielsko-cielęca atmosfera ulegała stonowaniu, choć nie chcę przez to powiedzieć, iż uprzednio nasze wygłupy bywały ordynarne i niestosowne. Jak już nadmieniałem tamta młodzież miała liczne i niekiedy bardzo bolesne doświadczenia nie tylko okupacyjne, ale i bardzo niedawne. Jeden z kolegów - Henio Kowalczyk stracił przed kilkoma tygodniami zamordowanego na pobliskich łąkach przez "szturmówkę" ojca.

Marian Bronikowski, Tadeusz Berdak i wielu innych miało za sobą przeszłość w ruchu oporu i tym samym groziły im represje ze strony umacniającego się reżimu. Sfałszowane referendum a następnie "wybory" były jednoznacznym sygnałem zapowiadającym kierunek rozwoju wydarzeń.

W październiku musiałem przerwać naukę, bowiem badanie radiologiczne wykazało zmiany gruźlicze w płucach. Były to następstwa warunków bytowych z czasu okupacji, łącznie z codziennym przebywaniem w otoczeniu osób ciężko cierpiących na tę chorobę (w czasie wojny zmarli na nią mój cioteczny brat Stach Krzyszcak i stryj Stanisław Olech). Dodam, iż ówczesne metody lecznicze gruźlicy były niezmiernie długotrwałe i niezbyt skuteczne.

Przerwa w nauce trwała trzy lata. W pierwszym roku leczyłem się intensywnie jeżdżąc do sanatoriów i stacji klimatycznych, w latach następnych kontynuowałem naukę metodą zaoczną. Prorządowe organizacje młodzieżowe OMTUR i ZWM stwarzały tego rodzaju możliwości, przysyłając materiały i skrypty oraz organizując liczne punkty konsultacyjne. Jeden z takich punktów mieścił się w Męskim Gimnazjum i Liceum w Zamościu. Kierowała nim miejscowa polonistka p. Straszyńska niestety jej imię uszło mej pamięci.

Konsultacje i egzaminy przeprowadzali etatowi nauczyciele rzeczonyj szkoły. W czasie wakacji 1949 r. pani Straszyńska zaproponowała mi przejście do klasy maturalnej stacjonarnej gimnazjum dla dorosłych. Jednocześnie zaistniała alternatywa ukończenia w następnym roku Państwowego Liceum

Pedagogicznego i ostatecznie ponownie znalazłem się w znanym mi szczebrzeskim budynku szkolnym, w klasie maturalnej o kierunku pedagogicznym.

Z rozpoczynających naukę gimnazjalną w 1944r. nie było już nikogo, mimo tego dość szybko zżyłem się z nowym otoczeniem, gdyż większość kolegów oraz nauczycieli znałem wcześniej. Rok szkolny minął bez większych sensacji. Egzamin maturalny nie sprawił mi problemów. Dostałem "nakaz pracy" do powiatu Krasnystaw (owe nakazy były swoistą metodą realizowania zapotrzebowania na nauczycieli przez inspektoraty oświaty). Jednak niewiele robiłem sobie z owego nakazu, gdyż wcześniej od dyrekcji szkoły dostałem propozycję kontynuowania nauki w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Warszawie.

[Tu następuje przerwa w wspomnieniach Aleksandra Piwowarka, gdyż studia w OWSP w Warszawie i w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie nie dotyczyły Szczebrzeszyna—Romuald Kołodziejczyk]

Po powrocie do Szczebrzeszyna zacząłem niezbyt skwapliwie szukać pracy. Były propozycje wolnych etatów zarówno w lubelskim kuratorium jak i w DOSZ (Szkolnictwo zawodowa tzw. zawodówki—przypis RK). Nie było jednak etatu polonisty w szczebrzeszyńskim PLP. Okazało się natomiast, iż poszukiwano nauczyciela do języka polskiego w szkole ćwiczeń. Zaproponowano mi pracę w tamtejszej szkole podstawowej, jednocześnie panią Janinę Piech, osobę o dużym doświadczeniu pedagogicznym przeniesiono do ćwiczeniówki. W ten sposób rozpoczęła się moja kariera nauczycielska.

Szkoła Podstawowa mieściła się w budynku położonym na rogu ul. Trębackiej i Zamojskiej. Był to bliźniaczy obiekt względem byłego magistratu a następnie szkoły zawodowej. O ile sobie dobrze przypominam z mojej dwutygodniowej edukacji w miasteczku w listopadzie 1939 roku, to właśnie tu mieściła się przedwojenna szkoła powszechna. Aktualnym kierownikiem był pan Marian Pado, uczyła również jego małżonka. Tercet starszych panów tworzyli panowie Jan Łopuszyński, Stanisław Leszczyński oraz Franciszek Głowacki. Niemal dwadzieścia lat ode mnie był starszy pan Adam Szyduczeński. Trójkę młodzieży stanowiły panienki Smoleniówna i Danusia Furelepa oraz ja.

W czasie mego pobytu w Warszawie a następnie Krakowie miasteczko odwiedzałem wielokrotnie. Tu mieszkali moi rodzice, było nasze mieszkanie, moi koledzy i znajomi. Było też oddalone o kilka kilometrów na zachód Podborcze z rozwalonym młynem, Gorajką z kielbami i nadzieją na taaaką rybę. I był ten piękny pofałdowany krajobraz zapierający dech w piersi.

Miasteczko jednak jakoś przybladło i poszarzało. Z tamtych klas z 1944 r. nie było nikogo. Raz spotkałem się z Jurkiem Kołatajem innym razem już w sutannie i po święceniach zjawił się Czesław Bartnik. Dawno przebrzmiał czas półoficjalnego obnoszenia się z pistoletem. W ratuszu rezydowała tow. Gad; gminny sekretarz PZPR, a na posterunku MO jawny rezydent ubecki, osobnik o nazwisku Mart. Ten pan odwiedził nasze mieszkanie już w po podjęciu przeze mnie pracy w szkole.

Wszedł cicho, bez pukania, obszedł mieszkanie i wyszedł. Nie warto byłoby wspominać owego epizodu, gdyby nie fakt, iż ukazuje on atmosferę, w jakiej w owym czasie przyszło nam żyć. Nie da się, bowiem zaprzeczyć, iż takie wdarcie się do czyjegoś mieszkania, bez słowa wyjaśnienia o celu wizyty z normalną obyczajnością niewiele ma wspólnego. [Może miało to być

przypomnienie o czujności "ludowej władzy", a może reakcja na jakiś donos, lub czyjaś inspiracja]. W każdym razie owa wizyta pozostała bez dalszych konsekwencji.

Po pracy w szkole pozostawało sporo czasu, który usiłowałem m. In. wypełnić grą w szachy. Niestety jedynym partnerem, który mi pozostał był Tadek Jaszczyk. Podczas nauki w szkole średniej towarzystwo było liczniejsze. Na początku był Czesław Bartnik, Potem kilka razy wybrałem się do brata Cezarego Klusa, Bogdana, od którego otrzymywałem srogie baty. Nieco później odwiedziłem mego wybawcę z rąk "szturmówki", milicjanta Ludwika Zajdlica ze skutkiem jak uprzednio. Moimi partnerami z końca lat czterdziestych byli. Janek Czuk i Bolek Sawic.

Wcześniej z Tadeuszem Jaszczykiem zetknęliśmy się kilkakrotnie w ośrodku zdrowia mieszczącym się wówczas w baraku za szpitalem przy ul. Klasztornej, gdzie od czasu do czasu zapraszano nas na badania. Początkowo mieszkał z matką i siostrą w fatalnych warunkach, w starej chacie, stojącej na skarpie przy ul. Frampolskiej (Partyzantów). Potem przeniósł się do kamienicy p.p. Guzowskich na przeciwko szpitala. Został sąsiadem przez drzwi p.p. Klukowskich. Pracował w miejscowym szpitalu jako księgowy, również żona Tadeusza - Danuta pracowała w szpitalu na stanowisku przełożonej pielęgniarek. Stąd znajomość z Doktorem przekraczała sporadyczne sąsiedzkie kontakty.

Ponieważ Tadeusz był jedyną osobą w Szczepieszynie, odwiedzaną przeze mnie z okazji każdego mojego pobytu już po opuszczeniu miasteczka, wiedziałem od niego nieco o Klukowskim, jego kondycji i stanie psychicznym, oraz miałem fragmentaryczną wiedzę o jego więziennej doli.

Na podstawie tej wiedzy mam uzasadnione przesłanki by mniemać, iż właśnie ten mój bliski kolega był pupilem i powiernikiem dra Zygmunta w ostatniej tragicznej fazie jego życia.

Wrócił zaś Klukowski z perelowskich kazamatów z mocno zrujnowanym zdrowiem. Nie stan fizyczny był jednak zasadniczą przyczyną cierpienia. Zawalił się cały jego świat. Wraz z synem zamordowano wszystkie nadzieje związane ze zbliżającą się starością. Więzienne doświadczenia i otaczająca go rzeczywistość negowały wszystkim wcześniejszym wyznawanym wartościom. Atmosfera drugiej połowy roku 1954, gdy Klukowskiego zwolniono z więzienia we Wronkach, nie była jeszcze "odwilżą". Powiewał jednak zefirek zapowiadający "październikową wiosnę".

Nadzieja na spełnienie najgorętszego pragnienia, jakim było zachowanie w pamięci czasu grozy i pogardy, ale również czasu heroizmu, oraz bezgranicznych poświęceń stawała się realna i owa nadzieja pozwalała mu trwać, aż do ukazania się jego "Dziennika....".

Nie sądzę jednak by Klukowski idealizował małomiasteczkową, otaczającą go rzeczywistość. Zbyt wiele dostrzegał krwi na niektórych rękach, zbyt wiele podłości w niektórych oczach i nie bez racji zapewne mniemał, iż są wśród mieszkańców osobnicy oględnie mówiąc mu nieżyczliwi. Krąg najbliższych przyjaciół stanowili pracownicy szpitala, lekarze i właściciele (wówczas jedynie pracownicy) apteki. Wielu wielbicieli zyskał sobie "Podwiński" (konspiracyjny pseudonim Klukowskiego) w toku konspiracyjnej działalności). Wielu wywodziło się z czasu, gdy był lekarzem szkolnym. Co najmniej trzech uznanych pisarzy odwiedziło mieszkanie w szpitalu w drugiej połowie lat czterdziestych. Byli to Janusz Meissner, Jan Wiktor oraz Wojciech

Żukrowski. Szczególnie dwaj ostatni stali się w bliskiej przyszłości gorącymi jego orędownikami.

Wzrastająca popularność stanowiła zapewne jakąś osłodę losu, ale nie była w stanie wyrównać potwornych krzywd, jakie go dosięgły tym bardziej, iż władza nawet ta popaździernikowa nie skłaniała się ku faktycznemu zadośćuczynieniu. Nie pozwolono na ekshumację zwłok przybranego syna, a nawet nie wskazano miejsca pochówku. Nie był Klukowski fizycznie torturowany w czasie śledztwa. Największe i uzasadnione katusze sprawiała mu utrata syna. Tyle opowiedział w sekrecie Tadeuszowi Jaszczkowi, a przynajmniej tyle ja od Tadeusza wiedziałem.

Z Klukowskim zetknąłem się po raz pierwszy w czasie okupacji, będąc jego pacjentem. Po wojnie widywałem go często na ulicach miasteczka i w pobliżu szpitala. Po raz ostatni ujrzałem go w Lublinie, gdy drepczącym starym krokiem przechodził wraz ze swą małżonką Zofią ul. Chopina.

W latach pięćdziesiątych w "Domu Książki" pracowały dwie panienki: Kazia i Halinka. Należałem do grupy dosyć przypadkowych osób, które często i długo przebywały w sklepie, z zasady bez zamiaru robienia zakupów. Lokal był przez te osoby traktowany jako rodzaj bezpłatnego klubu, bądź świetlicy. Niemalą atrakcją było kilkakrotne pojawienie się w sklepie sióstr: Zosi lub Lidki Kliz, członkiń niedawno zorganizowanego przez T. Sygetyńskiego zespołu "Mazowsze". Były one przyjaciółkami sprzedającej w księgarni Halinki Gdulówny. Owo księgarskie rykowisko stwarzało sytuację nieco krępującą dla normalnych klientów, co starała się bezskutecznie wyjaśnić mi kilkakrotnie moja mama.

Inną metodą spędzania czasu stanowiło oddawanie się hazardowi. Byłem zupełnie zielonym pokerzystą, nic dziwnego, iż zawsze chodziłem bez grosza. Jeden zespół graczy stanowiło towarzystwo z grona nauczycieli licealnych byli to; Miecio Kadłubowski, Witek Krzywiński, uzupełniani niekiedy przez Frania Kmicika lub Frania Hawryluka. Szczytem nierozwagi było jednak siadanie do stolika z braćmi Zbyszkiem i Marianem Kapciami. Sporo czasu upłynęło nim zorientowałem się, na czym polega gra w "rodzinny pokera".

Owe rozrywki nie przysłaniały mi jednak obowiązków zawodowych. Ówczesny etat w szkole podstawowej wynosił trzydzieści godzin. W moim wypadku dochodziły jeszcze nadliczówki oraz praca w bibliotece. Szybko zorientowałem się, iż na tym poziomie nauczania wiedza akademicka nie jest zbyt użyteczna. Natomiast bardzo pomocne okazały się podręczniki. Do ćwiczeń ortograficzno - stylistycznych służyła książeczka autorstwa Bronisława Wieczorkiewicza. Przy nauce gramatyki bardzo pomocny był podręcznik Zenona Klemensiewicza.

Natomiast tytułów podręczników do nauki literatury i nazwisk ich autorów nie przypominam sobie. Zawierały one zarówno teksty opracowane przez autorów książek jak i niewielkie fragmenty z dzieł literackich, oraz utwory poetyckie. Jako ciekawostkę przytoczę czytanekę, która przez lat kilka znajdowała się w podręczniku dla kl. szóstej o tytule "Plastusie Wojtusia Kołataja". Treść owego opowiadania była oparta na autentycznym wydarzeniu, jakie miało miejsce w Szczebrzeszynie. Wojtek był młodszym bratem wspomnianego wyżej Jurka. W wolnym czasie lubił lepić z plasteliny sceny z czytanych lektur.

W czasie, o którym mowa miał ulepioną scenkę z W pustyni i w puszczy (dziełko sygnalizowało niewątpliwy talent chłopca). Był to rok 1949 i cały "obóz

socjalistyczny" z wielką pompą czcił siedemdziesiąte urodziny "wodza światowej rewolucji". Komunistyczne władze oświatowe na gwałt szukały "spontanicznych odruchów społecznych" w rzeczonym temacie.

Kierownik szkoły pan Marian Pado przypomniał sobie o talencie Wojtusia i zaproponował mu ulepienie odpowiedniej sceny celem przekazania jako urodzinowego daru dla Stalina. Niebawem powstała plastelinowa scenka z "Młodej Gwardii", którą przekazano do Warszawy. Po paru dniach Wojtek otrzymał zaproszenie do stolicy. Okazało się, iż niektóre figurki zostały w drodze uszkodzone i chłopiec poprawiał je własnoręcznie. Następnie scenę utwardzono. Czy prezent adresat otrzymał i się nim zainteresował nie wiem.

(Rodzice Wojciecha Kołataja mieli duży sklep delikatesowy. Po wyzwoleniu sklep ten im zabrano, a jakiś głupi aparatczyk zakazał właściciela sklepu gdziekolwiek zatrudnić. Rodzina prawie cierpiała głód. Wojtek ulepił scenę młodej Gwardii i jednocześnie napisał do Bieruta list opisujący rodzinną sytuację. W niedługim czasie do komitetu partii dotarł list Bieruta polecający danie pracy ojcu Wojtka. Tak też się stało—przypis RK)

Mimo owego aspektu serwilistyczno - politycznego, ktoś ów talent dostrzegł. Wojtek w następnym roku otrzymał stypendium i miejsce w zakopiańskiej szkole artystycznej. Nie został jednak rzeźbiarzem. Został natomiast bliskim współpracownikiem prof. Kazimierza Michałowskiego, a obecnie jest wybitnym polskim archeologiem; prawdopodobnie już w stanie spoczynku.

Powracając jednak do ówczesnego szkolnego programu literackiego to obok owych czytadełek o różnej wartości ideologicznej i formalnej istniały lektury obowiązkowe do omówienia na lekcjach. Żelazną pozycję zawsze stanowił "Pan Tadeusz" i stale okazywało się, iż jedynie niewielki odsetek uczniów poemat przeczytało. Po kilku latach doświadczeń doszedłem do wniosku, iż przybliżyć młodzieży ową epopeję można jedynie przez analizowanie fragmentów utworu. Duże zainteresowanie wzbudzało czytanie "Ojca zadżumionych": wówczas panowała na lekcji zupełna cisza. Nasuwał się oczywisty wniosek, iż większe zainteresowanie budzi wartka narracja i dramaturgia wydarzeń, niż najpiękniejsze nawet opisy, do których potrzebne jest pewne przygotowanie i dojrzałość.

Z trójki romantycznych wieszczów najmocniej eksponowany był Mickiewicz obok wspomnianego Pana Tadeusza do lektur obowiązkowych zliczono "Grażynę", wybór sonetów krymskich, wybór ballad i niektóre wiersze programowe. Słowackiego reprezentowały fragmenty dramatów i niektóre wiersze.

Twórczość pozytywistyczną segregowano wokół tak dobranych tematów by ukazywały negatywne zjawiska społeczne swego czasu. Ponieważ nie sądzę by szczegółowe omawianie zakresu lektur było zbyt interesujące, na tym je zakończę. Ideologiczną poprawność postawy nauczycielskiej kształtowano w owym czasie za pośrednictwem szkoleń. Mile widziano przynależność do PZPR.

W 1954 roku przeżyłem jedyną w czasie mej kariery nauczycielskiej w Szczepreszynie wizytację. Nazywała się "wizytacją frontalną". Trzech panów inspektorów oświaty z Zamościa: Jakoniewski, Jur i Niderla przez kilka dni z rzędu oceniało poszczególnych nauczycieli i szkołę jako całość. O ile znało się pewne elementy determinujące ocenę lekcji przez wizytujących, nie było trudności w uzyskaniu pozytywnej cenzurki. Do owych determinantów

zaliczano "upogładawianie", "aktualizowanie" i "naukowe interpretowanie" zajęcia.

Obowiązywał również konspekt. Ogólna ocena szkoły wypadła dobrze. Jaki wpływ miały na to nieco grubsze przy wyjeździe teczki panów inspektorów nie umiem stwierdzić. W tym czasie woźnym był niejaki Łata zaś sprzątaczką jego żona; Ukrainka, z którą się poznali w czasie pobytu na przymusowych robotach w Niemczech. Prawdopodobnie kierownik szkoły wraz z Łatami na spółkę hodowali na własne potrzeby nierogaciznę. Być więc może, iż ową opasłość inspektorskich teczek powodowała wędlina lub rąbanka z własnego uboju. Nie zapominajmy, iż był to okres kartek na mięso i innych braków w zaopatrzeniu. Rąbanka więc była miłym i cennym dowodem uczuć. Natomiast okresowi współpracownicy ku obustronnej szkodzie dość szybko się poróżnili, w bliżej nieznanym mi okolicznościach. Łatowie stracili pacę i mimo, iż następnie przez lat wiele byli sąsiadami moich rodziców w kamienicy, wiedza w tej materii do mnie nie dotarła.

Rowerem nauczyłem się jeździć późno - z bardzo prozaicznej przyczyny, bowiem w okresie wojny i bezpośrednio po wojnie był to sprzęt deficytowy i rower kupiłem dopiero za jedną z pierwszych pensji i to tylko dzięki temu, iż kilka sztuk owych wehikułów pojawiło się w prowadzonym przez ojca geesowskim sklepie. Po okresie próbnym, z odrobiną poobijanymi kolanami wybrałem się z kolegą Okoniewskim do Radecznic na odpust. Jechałem za Ludwikiem ścieżkami obok wyboistej drogi szarpiąc kierownicę, niczem pijany i tak dotarliśmy w pobliże Radecznic. Kilkaset metrów przed mostkiem na Gorajce ścieżka prowadziła niewysoką skarpią, obok której biegła droga w tym miejscu nader obfita w błoto i kałuże.

Jeden nieskoordynowany ruch kierownicą i wraz z rowerem znalazłem się o metr poniżej w błotnistej kąpieli. Kolega wyciągnął mnie jedną ręką uchwyciwszy poniżej krzyża, drugą usiłował wydobyć za kierownicę rower. O odpustowych atrakcjach nie było mowy. Na szczęście rzeczka była w pobliżu. Było więc pranie, kąpiel i suszenie garderoby na łączce. Ucierpiały jednak moje spodnie i noga zaczepione jakimś fragmentem rowerowego błotnika, Nie obyło się, więc bez wędrowki do pobliskiej Radecznic. Tu mój krewny Józef Bizior z Dzielec będący wówczas kierownikiem "Ośrodka Zdrowia" zaopatrzył moją nogę bandażem, a nogawkę spodni agrafką.

Owa przygoda była dodatkową bardzo owocną nauką jazdy na rowerze, a ta umiejętność była w tamtym czasie nieodzowna. Dzięki niej mój kontakt z gorajecką enklawą był dosyć intensywny. Łączyły mnie z nią nie tylko więzy krwi, ale i motyw emocjonalny istniejący jeszcze z czasu wojny. Atawistyczne zajęcie wędkarskie uległo nawet zintensyfikowaniu. Miałem żyłkę nylonową, pierwszy życiu spinning z kołowrotkiem i kij bambusowy. Wszystko zakupione w znanym tamtego czasu sklepiku "U Suma" na parterowej Marszałkowskiej.

Dzięki rowerowi poznałem niemal cały bieg rzeczki. Ze względu na podmokłe w wielu miejscach otoczenie nie było mowy o poruszaniu się rowerem wzdłuż koryta. W większości wiosek mieszkali jednak krewni, u których nie tylko mogłem zostawić pojazd, ale i przenocować, a następnie przechodzić z biegiem nurtu wody lub w odwrotnym kierunku. Tym sposobem poznałem bieg rzeki od Czarnegostoku, aż po Zakłodzie. Tu miałem kolejną "metę".

Poznałem bieg Poru od Turobina po Sułów. Taaakiej ryby wówczas nie złowiłem. Widziałem jedynie kilka naprawdę dużych węgorzy pochwyconych

przez młynarza w Zakładzie po otwarciu stawideł młyna. Moje sukcesy wędkarskie nie sposób zaliczyć do imponujących. Obok drobnicy było kilka niewielkich szczupaków i węgorzy.

Inną domeną moich szczególnie wakacyjnych zainteresowań były wiejskie panienki. Były to przede wszystkim gimnazjalistki lub studentki spędzające wakacje u rodziny na wsi. Kochliwy zresztą byłem niemal od kołyski; Pierwszym i nieodwzajemnionym obiektem moich westchnień była pięcioletnia Danusia w Samborze, rozpieszczona córeczka oficera, miała lat pięć i nie dostrzegając mnie doprowadzała do rozpacz. W Nisku było lepiej. Uzyskałem przychylność ośmioletniej koleżanki Tereski K. dziewczątka było skromne nawet odrobinę chucherkowate i szczuplutkie. Odwiedzaliśmy się w ławkach, wpisywali do pamiętnika, świadczyli drobne uprzejmości.

Potem była wojna. Do szkoły niemal nie uczęszczałem, pasłem krowy, zbijałem bąki, kryłem się przed Niemcami. Wymarzona kolekcja obiektów westchnień i marzeń pojawiła się wiosną 1944 roku, gdy rozpoczął się gorajecki kurs tajnego nauczania. Były tam Marysia, Dusia, Zosia, Kazia i Ludwika. Wszystkie piękne godne uniesień. Wraz z końcem okupacji zniknęły z boginkami ów Eden w sposób ostateczny i drastyczny. Nigdy z którąkolwiek z nich już się nie zetknąłem.

Choć powojenny Szczepieszyn to nie światowa metropolia, czułem się początkowo nieco zakompleksiony i onieśmielony Stan ów pogłębiały moje „osiągnięcia” z wychowania fizycznego. Ela Kierkus zostawiała mnie o dwadzieścia metrów na „setce” w biegach. Moja sprawność fizyczna była połączeniem ruchów hipopotama ze słoniem. Zainteresowanie światem młodzieńskich dam dało znać o sobie pod koniec lat czterdziestych. Niekiedy, gdy korowód opuszczających szkołę dziewcząt powracał do domu i na stację, spoglądałem na nie z balkonu.

Wiele owych panienczek znałem z widzenia. Z niektórymi z nich usiłowałem nieudolnie nawiązać kontakt. Efekty owych zabiegów były marne, choć niezupełnie bezowocne. Pewnego razu mój aktualny partner szachowy B. Sawic zaproponował mi nawiązania kontaktu z jego sąsiadką, co niebawem zostało zrealizowane. Nie było w tej znajomości ani zbyt dużego zaangażowania, ani emocji. Jednak dodatkowe wyprawy na ulicę Frampolską zwróciły moją baczniejszą uwagę na jej mankamenty. A ulica istotnie była obskurna. Jezdnię zbudowaną z „kocich łbów” pokrywał podkład lessowego pyłu, który po każdym deszczu zamieniał w grubą warstwę lepkiego błota. Poboczami prowadziły wzdłuż opłotków równie błotniste i pełne kałuż wąskie ścieżki. Żadna z kilku latarni mających oświetlać wieczorem drogę nie była sprawna. Kilka umiejscowionych tu publicznych studni było zepsutych i nie nadawało się do użytku. Utrzymywałem w tym czasie kontakt z Lubelskimi gazetami, wysyłają niekiedy lokalne informacje. Kilka niewielkich krytycznych notatek przyniosło częściowo pożądane efekty, latarnie zaczęły świecić studnie zostały naprawione.

Niebawem moje romantyczne zainteresowania skierowane zostały w rejon radecznicki. Wakacyjne wyprawy o tym charakterze miały wszystkie cechy „randek w ciemno”. Jak powyżej nadmieniałem ich obiektem były z zasady uczennice szkół średnich przebywające w ciągu roku szkolnego poza swoim wiejskim domem rodzinnym, a pojawiały w nim w okresie świąt i ferii. Na początku lat pięćdziesiątych tendencja do kontynuacji nauki po ukończeniu

lokalnej szkoły podstawowej była dosyć ograniczona przede wszystkim ze względu na trudności materialne, ale i brak tradycji.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych wieś polska a w tym i lubelska znajdowała się w trudnej sytuacji. Nadal mimo zakończenia wojny były ściągane kontyngenty obecnie eufemistycznie zwane "obowiązkowymi dostawami". Natomiast ze strony przemysłu niewiele było artykułów ułatwiających rolnikowi pracę i życie. Nie kryjąc się zbytnio ze swymi zamiarami komunistyczne władze przygotowywały się do pełnej kolektywizacji polskiej wsi. Oczywistym tego objawem była reforma administracyjna wprowadzająca podział terenów wiejskich na "gromady" mające niebawem stać się obszarem działania tzw. "spółdzielni." Praca na roli szczególnie w porze letniej ze względu na prymitywizm stosowanych narzędzi była wielce czasochłonna i uciążliwa i z tego powodu młodzież przyjeżdżająca na wakacje nie dysponowała nadmiarem czasu, poza tym struktura nieruchomości i ich wyposażenie były bardziej niż skromne.

Chaty w większości jednoizbowe nie pozwalały na niekrępujące składanie wizyt brak było również energii elektrycznej i stąd owe przysłowiowe "egipskie ciemności" ogarniające i wioskę i chłopską zagrodę. Powyższe determinanty powodowały niekiedy sytuacje groteskowe, czasem nieco żenujące, niekiedy zabawne. Pewnego razu, gdy biwakowałem w stodole moich krewnych w Podborczu otrzymałem wiadomość, iż w pobliskim Chłopkowie pojawił się obiekt godny zainteresowania.

Już następnego wieczoru wybrałem się do odległej około kilometr w kierunku zachodnim rzecznej miejscowości celem dokonania rekonesansu. Zgodnie z lokalnymi obyczajami (wynikającymi zresztą z uwarunkowań) miejscem owego spotkania była ławeczka w pobliżu chaty. Rekonesans nie wypadł zbyt atrakcyjnie ani obiecująco. Odwrót nastąpił w porze piania słynnych z piosenki Ciechowskiego chłopskich kogutów.

Noc była szczególnie ciemna tak, że nie sposób było dostrzec nie tylko koleiny polnego szlaku, ale nawet końców własnych butów. Po pewnym czasie zacząłem dostrzegać niewyraźne kontury zabudowań, które według mnie nie powinny tu się znajdować. Pałając się w dosyć dużej odległości przede mną jedyna lampa elektryczna pozwoliła mi się zorientować, iż wędruję w kierunku północnym do odległej około pięciu kilometrów Radeczniczy. Szukanie w ciemnościach właściwej ścieżki nie wchodziło w grę. Dotarłem do Radeczniczy a następnie gościńcem w odwrotnym kierunku. Zamiast pokonania jedno kilometrowego odcinka dzielącego Chłopków od Podborcza "skróciłem" sobie drogę o dziewięć kilometrów. Gdy dotarłem na miejsce niebo błękitniało.

Innym razem wybrałem się do nieodległej miejscowości położonej za rzeczką (kilometr na wschód od mego miejsca biwakowania). Znowu tradycyjna ławka, oczekiwanie na zakończenie obrządku i wyjście bogdanki. Trwało to dosyć długo. Siedziałem, więc na owej ławce, a że czułem coś wilgotnego rozchodzącego się, co raz szerzej, kręciłem się nieprzyzwoicie. Gdy powróciłem do Podborcza stwierdziłem, iż moje spodnie nie nadają się do użytku, ławeczka, bowiem służyła nie tylko ludziom, ale i kurom.

Wspomnienia o moich przygodach na północno-zachodnim skrawku Rostocza, mimo, iż można by jeszcze długo bajać, dobiegają końca. Trwało to ponad piętnaście lat. Jedynym aspektem anielskości tamtego czasu była młodość i krąg przyjaciół w tym również owe urocze dziewczęta, obojętnie czy roztaczające swój czar na ulicach miasteczka, czy w wiejskich zagrodach.

Jednak niemal cały czas atmosfera społeczno-polityczna była duszna i ciężka. Nie poprawiała jej sytuacja małego miasteczka coraz bardziej tonącego w marazmie i gnuśności Ubywało dziewcząt i chłopców z tamtych nieodległych lat. Znikali w szerokim świecie. Pojawienie się pewnej drobnej osóbkę spowodowało, iż znalazłem się na drugim krańcu Polski. Nad Krajem pojawiła się zorza październikowej odwilży To jednak inna epoka i odrębny temat.